MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 15. WARSZAWA, 26 MARCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

W MŁODZIEŻY NADZIEJA POLSKI

„PANOWIE! Wasza duma, wasze łakomstwa, wasze niezgody i wspólne zawiści do tej niedoli przyprowadziły Ojczyznę. Przez zniewagę praw, przez zgwałconą w wszystkich sądach sprawiedliwość, zniszczyliście... wyniosłość ducha, męstwo, odwagę, stałość w przedsięwzięciu i miłość wolności, zatraciliście własny Polaków charakter, nadając (-(im)-) podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość! Czas upamiętania waszego! Czas, abyście wrócili prawu dzielność! Starajcie się, nie mogąc już nadać duszy tym, którzy się z wami postarzeli, abyście tej duszy nie kazili w młodzieży! W młodzieży nadzieja Polski: strzeżmy się, aby nie kazić tej drogiej nadziei. Nie utrzymujcie bardziej waszej familji, niżeli Rzeczypospolitej".

W młodzieży nadzieja Polski! Tak głosił Stanisław Staszic, rzucając w twarz jurgeltnikom obcym ciężkie, a jak historja potwierdziła, słuszne oskarżenia. Pytał się zbolały: „Czyliż ten naród ma charakter, w którym jeden człowiek potrafił wypełnić tyle zbrodni bezkarnie, więcej powiem, w którym taki publiczny złoczyńca nietylko nie zginął, ale bawił się w kraju, żył lat 15 poważany, zasiadał w senacie..." Człowiek ten „ogłasza praw obrońcę nieprzyjacielem Ojczyzny, niecnota rzuca infamię na cnotę. Cóż to? Ani tu jeszcze nie znalazł się w całej Polsce choć jeden przynajmniej taki obywatel, który, jeśli nie całej Ojczyzny, to przynajmniej cnoty mszcząc się, nie utopił miecza w marnem sercu? Nie!"

Ten rozpaczliwy krzyk bólu patrjotycznego nie mógł przeszkodzić tragicznym wypadkom, które nastąpiły w 1792 i 1795, ale odezwał się silnem echem w duszach młodego pokolenia, które charakterem swym przerosło o głowę rówieśników Staszica. Młodzież ówczesna, to Dąbrowski, Poniatowski, Czacki, Mostowski, Adam Czartoryski, Stanisław Zamoyski, Chłopicki, Lubecki. Nie byli bez wad i błędów, to pewna, ale życiem swojem i czynami zmazali hańbę Ponińskich, Ankwiczów, Branickich. Dzięki nim naród polski padł tylko, ale nie zginął.

Dziś, po latach tylu, uwaga narodu polskiego skupia się znów na młodzieży. Wchodzi w życie pokolenie jednolite, wychowane już w słońcu wolności, pokolenie patrjotyczne, gotowe w każdej chwili do obrony kraju przed wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym. Na to pierwsze pokolenie Polski niepodległej winien—zdawałoby się—każdy rząd polski patrzeć z miłością i nadzieją, starać się je zrozumieć, pozyskać, wytworzyć jednolity prąd wszystkich Polaków, zwłaszcza dziś, w dobie podważania traktatów, w dobie kryzysu i wrogiego, żydowskiego zalewu.

Ludzie, którzy od maja 1926 roku stoją u steru, spoglądają inaczej na młodzież. Dla nich młode pokolenie, to nie nadzieja Polski, ale groźne widmo, spędzające sen z powiek, to ci, którzy nieubłaganie, krok za krokiem, pozbawiają „sanację" oparcia, odcinają jej źródła energji, z których czerpaćby mogła uzupełnienie swych, mocno już starganych, sił.

Dzieje bajeczne Grecji pozostawiły nam w spadku ciekawy mit o Chronosie. Jak wiadomo, pozbawił on swego ojca Uranosa, reprezentującego w micie pokolenie poprzedników — władzy nad światem. Fatalizm sprawiedliwości sprawił, że uzurpator żyć musiał w ustawicznej trwodze przed pokoleniem swych synów, w których przeczuwał następców i mścicieli dziada. Zdobył się wówczas na krok potworny: pożeranie własnych dzieci. Jak wiadomo, próby te skończyły się niepomyślnie i najmłodszy z synów, Zeus, pozbawił ojca bezprawnie przywłaszczonego panowania. Genjusz ludu greckiego określił takie zakończenie mitu, jako triumf dobra nad złem, sprawiedliwości nad egoizmem.

„Sanacja“ dobywa wszelkich sił, aby iść w ślady Chronosa. Ostatnie represje w stosunku do młodzieży świadczą o tem dobitnie i wyraźnie.

Co było kamieniem obrazy? Cóż było ową „działalnością antypaństwową“ o której w pismach sanacyjnych czytamy? Były to: walka o autonomję i walka z żydowskim zalewem. Oto zbrodnie, za które zestawia się młode pokolenie polskie z elementem komunistycznym i w jednakowy sposób traktuje.

Nie lękamy się skutków tej walki dla młodzieży. Święty Augustyn powiada: „Doświadczenia są jak płomień; kto ze słomy, ten zgorzeje, kto ze złota, ten się w nich oczyści“. „spokój“ w młodem pokoleniu polskiem może Sanacja osiągnąć, ale byłby to spokój cmentarza. Zapewne, skrupułów trudno szukać w ideologji Kostków i Sławków, ale czy siły starczy? Można fizycznie zniszczyć szereg jednostek, ale nie zgładzi się całego pokolenia. Nie posiada ono jednej tylko głowy, jak to słusznie a smutnie zauważył ongiś Kaligula. Ci zaś, którzy wierzą w skuteczność mechanicznych represyj, winni pamiętać głębokie słowa Mickiewicza:

„Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, huku i skutku.

„Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i skutkiem“.

Mądre to i przezorne słowa!

JAN MOSDORF

O DUCHA NARODU

„BÓLEM BÓLÓW“ nazwał poeta zatruty duch narodu — i tak jest naprawdę: z wielką troską, z głębokim żalem, niemal z rozpaczą oglądamy widoczne naokół objawy zatrucia. Bezkarność zbrodni, triumfy fałszu, gwałty i bezprawia, spekulacja na tchórzostwie, próby łamania charakterów (nieraz tak udane), panoszenie się chamstwa i pornografji, reformy Boy'a, powodzenie „I. K. C.“ i „Tajnego Detektywa“, rządy dusz w rękach pisarzy „Wiadomości Literackich“... Smutek, smutek...

Ale boleć nad tym stanem rzeczy, ręce łamać, rozpaczać—to mało. Kto tę truciznę sączy? Gdzie wróg? Czyżbyśmy nie potrafili się z nim zmierzyć? Czyżbyśmy musieli mu ulec?

Tylko — cóż to jest duch narodu? Jest-że to coś realnego? A może to tylko jedno z górnych, ale pustych słów, dogodnych do szermowania w oratorskim zapale, w walce politycznej o dobra choćby najbardziej materjalne? Czy możemy z niem związać jakiś sens uchwytny, wyraźny, aby je zastosować w dziedzinie konkretnych stosunków, do rzeczywistego życia narodowego?

Tak, niewątpliwie, można sens taki znaleźć. Duchem narodu jest świadomość własnej indywidualności, osobowości—oraz tą osobowością przedewszystkiem uwarunkowanego posłannictwa, czyli roli, jaką naród ma odegrać wśród innych narodów Świadomość ta powstaje i wzmaga się stopniowo, wśród nieszczęść i triumfów ojczyzny, we wspólnej doli; wyraża się zaś w pismach polityków, uczonych, filozofów, poetów. Duch narodu polskiego, omdlały po klęsce 63-go roku, wyszydzony przez pozytywistów i międzynarodówki, zabłysnął na nowo w „Trylogji“, żarzył się w konspiracyjnych pracach twórców ruchu demokratyczno-narodowego, jego iskierki dostrzec można było i w podziemnej redakcji dawnego „Robotnika“, wybuchnął wreszcie wielkim, świętym płomieniem w latach 1918—20, w czynach młodego polskiego wojska, orląt lwowskich, powstańców na Śląsku. Ale dzisiaj, po latach kilkunastu niepodległego bytu, znowu zszarzał, niemal zaniknął. Jakież są tego przyczyny?

Wbija się w głowy Polaków, że państwo własne jest dla nich najwyższem dobrem — a robi się to w przejrzystym zamiarze utrwalenia władzy grupy ludzi, którzy za „twórców“ tego państwa każą się uważać i są głęboko przekonani, że za te zasługi należy im się sowite odszkodowanie. Cel propagandy jest brzydki, ale prawdą jest, że własne państwo jest dla narodu bezcenne — tylko dlaczego? Otóż dlatego jedynie, że możność rządzenia się u siebie, stanowienia o sobie, jest koniecznym warunkiem pełnego życia narodowego, rozwoju ducha narodu. Tylko niepodległy naród zdoła w pełni uświadomić sobie swą odrębność i swą misję dziejową; tylko wolność polityczna zabezpiecza mu jej realizację. Własne urządzenia państwowe, własny rząd — to niezbędne narzędzia skutecznego działania narodu; ale opanowane przez wpływy obce, zatrute przez wrogów, mogą stać się dla narodu największem niebezpieczeństwem. Kochamy nasze państwo i gotowi jesteśmy na wszelkie ofiary w jego obronie—cóż może być naturalniejszego, prostszego? Kiedy imię Polski znalazło się znowu na mapie Europy, uczuliśmy się nareszcie obywatelami, a nie poddanymi, uczuliśmy się równymi wolnym ludziom innych krajów; rozumieliśmy, że kończy się nareszcie męka upokorzeń niewolników i emigrantów, „*des pauvres Polonais*“. Niestety! Okazało się niebawem, że czekały nas upokorzenia bodaj jeszcze gorsze, jeszcze boleśniejsze. Czekały nas ciosy najsroższe: z ręki brata.

Jakże tu spojrzeć śmiało w oczy człowiekowi Zachodu, gdy rzuci w twarz: „Teraz przecie rządzicie się sami“. Jak się obronić uczuciu palącego wstydu, przenosząc się myślą od naszej sali sejmowej, gdzie garstka posłów beznadziejnie walczyła o wolność polskiej nauki w polskiem państwie do wielkich i świetnych ognisk europejskiej wiedzy, cywilizacji zachodniej? Grzebiemy nasze najpiękniejsze tradycje, stajemy się Wschodem, grzęźniemy w pół-cywilizacji — aby tylko pewna siebie mniejszość mogła utrzymać się u steru!

Ta mniejszość rządząca widzi ze strachem, że nie ma następców, że ogół młodych Polaków odwraca się od niej z obrzydzeniem. Mniejszość rządząca łudzi się, że zdoła tę młodzież przeciągnąć na swoją stronę groźbą lub głodem. Ale to się nie uda, to się udać nie może. Młodzież nasza chce Wielkiej Polski, Polski naprawdę niepodległej, Polski narodowej. Żyje w tej młodzieży duch narodu; to trzeba uznać i zrozumieć, a wtedy znajdzie się łatwo drogę do jej „serc i dusz“.

Czem porwał za sobą młodzież włoską „*Il Duce*“? Zdusił w zarodku knowania trucicieli narodowego ducha. Wskazał rodakom prostą, jasną drogę do wielkości ojczyzny. Obudził w ich duszach dumę z tego, że są Włochami, ukazał im

wizję wiecznej Romy—i rozpętał burzę entuzjazmu. Nie schlebia swemu narodowi, wymaga pracy, ofiar, wysiłku — ale nie nazywa go też „narodem idjotów“ i nikomu nie „łamie kości“.

Prawdziwy nacjonalista buduje na miłości swego narodu, nie na nienawiści narodów obcych. Nie pogardza niemi i nie poniża ich; uważa bowiem podział ludzkości na narody za naturalny, za konieczny — i wie, że każdy naród ma do spełnienia własną misję, własne swe odrębne zadanie, w czem nikt go wyręczyć i zastąpić nie może. Narodowemu poglądowi na świat obce są marzenia o panowaniu nad innymi: hasło „*Deutschland über Alles*“ jest hasłem szowinistów, świadectwem zatrucia pruskim jadem ducha narodu niemieckiego.

Ludy zamieszkujące ziemie dawnej Rzeczypospolitej, żyjąc i rozwijając się pod osłoną polskich szabel, zrastały się zwolna dobrowolnie w wielki naród polski o cywilizacji zachodniej, rzymskiej. Tragedja rozbiorów przerwała ten wielki proces dziejowy; czasy niewoli oddaliły nas od siebie, zasiały w duszach nieufność. Zadaniem polityki polskiej w odrodzonem państwie powinno być nawiązanie potarganych nici, obudzenie nanowo poczucia solidarności w obliczu wielkich wspólnych zadań. Jeśli, zamiast tego, polskiemi rękami usiłuje się gwałtem budować „Ukrainę“ na polskiej ziemi, to nie można w tem szaleństwie nie dostrzec śmiertelnego już niemal zatrucia narodowego ducha. Ale młodzież, wyrosła już na swobodzie, tej samobójczej polityki byłych niewolników nie poprze. Młodzież dąży do radykalnego uwolnienia polskiej myśli politycznej od reszty zarazków z okresu niewoli, od wszelkich obcych wtrętów. Młodzież podejmuje z zapałem ciężką walkę o czystość ducha narodu i słusznie zwraca się naprzód przeciwko pasorzytującemu na nas i zatruwającemu nam krew i ducha żydostwu. Po uwolnieniu się od zmory żydowskiej pogodzimy się łatwo, bez trudności też dojdziemy do porozumienia z Rusinami i Litwinami. Będziemy wtedy nareszcie wolni naprawdę—i będziemy sobą.

INQUIRER

IMPONDERABILIA

I. NARÓD I LUDNOŚĆ

NIEMA bodaj na świecie człowieka, któryby choć raz w życiu nie spotkał bezrękiego, beznogiego, niewidomego, głuchoniemego. Każde wymienione kalectwo jest tak wielkie, tak oczywiste, że siłą kontrastu zmusza nas do stwierdzenia wartości własnych organów: dzięki Bogu — myślimy — iż nasze ręce, nogi, oczy, uszy są w porządku.

Rzadziej spotyka sie ułomnych umysłowo. Jednak niekiedy przeczytać się zdarzy, że ktoś zaginął, a odnaleziony nie umiał odpowiedzieć na pytanie, kim jest i dokąd chciałby się udać. Taki człowiek wykonywa funkcje fizjologiczne, trzeba więc uznawać go za żyjącego, na podstawie dokumentów można ustalić jego tożsamość, krewni i znajomi go poznają, ale sam siebie nie poznaje, nie może sobą należycie kierować, nie jest zdolny do pełnienia swoich obowiązków zawodowych, wymaga opieki, przestaje być poprostu podmiotem, postradawszy jedność świadomości, staje się przedmiotem, wegetuje.

Kalectwo duszy jest pozornie mniej oczywiste, niż ułomność ciała, lecz gdy zostanie stwierdzone, siłą kontrastu nasuwa człowiekowi psychicznie zdrowemu myśl, że i dusza jest rzeczywistością, niemniej potężną od ciała.

I umysłowo chory atoli ujawnia, podobnie jak osobnik zdrowy, wrażenia i skojarzenia, podlega wzruszeniom i pożądaniom, wygłasza sądy, nawet rozumuje. Na czem tedy polega wogóle jego kalectwo duchowe? Na niemożności równoważnego ujmowania stosunków przedmiotów.

Łatwo uzmysłowić sobie, co to znaczy. Każdy wie, że dziecko nieraz sięga rączką po gwiazdkę z nieba, jakgdyby nie istniały dlań odległości (natywistyczna teorja Hering'a przyjmuje jedną pierwotną odległość), że dopiero powoli uczy się odróżniać zjawisko symetrji — rączkę prawą i lewą, że pojęcia „dzisiaj“ i „wczoraj“ długo mu się mięszają, zanim jako tako uchwyci ich różnicę, że może już umieć odróżniać cztery pomarańcze od jednej (więcej i mniej), jednak daleko mu jeszcze do liczenia przedmiotów. Ten sam szereg dziesięciu uderzeń zegara będzie dla dziecka tylko szeregiem odosobnionych wrażeń słuchowych, dla człowieka dojrzałego—świadomością ich następstwa, całością, oznaczającą godzinę dziesiątą.

Otóż świadomość chorego umysłowo zbliża się raczej do świadomości prymitywnej dziecka, albo do świadomości chaotycznej z marzeń sennych, która również zaciera granice między rzeczywistością a urojeniem.

Słowem, człowiek żyjący, pozbawiony jedności świadomości, staje się niejako trupem duchowym, wlokącym swoje ciało, natomiast staje się z powrotem sobą z chwilą, gdy jedność świadomości odzyska.

Jak u jednostek, tak u zbiorowisk ludzkich, czynnik duchowy ma znaczenie decydujące.

Wyobraźmy sobie państwo, zaludnione przez różne ugrupowania w stosunkach następujących: 25% Rusinów, 20% Słowaków, 20% Węgrów, 15% Niemców, 15% Żydów, 5% różnych.

W dawnych receptach kucharskich czytało się: weź i utłucz w moździerzu. Cóż mogłoby łączyć taką pstrokaciznę? Zaiste, chyba moździerz i tłuczek. Wyjęte z pod przymusu państwowego grupy ludności powyższej żyłyby w odosobnieniu i walce, zdolne w najlepszym razie do „wypośrodkowania“ jakiegoś naturalnego interesu krajowego, na krótko metę. Byłaby to tylko mieszanina ludnościowa. Dlaczego nie naród? Bo taka mieszanina nie czuje się sama całością, brak jej jedności psychicznej, bez której naród nie istnieje.

A więc ludność — to zbiorowisko ludzkie bez jedności duchowej, pomimo spólnoty terytorjalnej, państwowej, a nieraz i językowej. Naród to zbiorowisko ludzkie, ożywione jednością psychiczną, nawet w razie utraty państwa i rozłączenia państwowego (Polacy w państwach rozbiorczych), ba, nawet w razie utraty języka (Irlandczycy).

Im potężniejszy naród, tem powszechniejszy udział składających się nań grup i jednostek w posiadaniu dóbr spólnych, tem obszerniejszy zakres

spólnych celów, tem mocniej uzewnętrzniające się poczucie spólnoty dziejowej.

II. ŚWIADOMOŚĆ A STRUKTURA NARODU

Świadomość porównywano trafnie do potoku, chcąc uwydatnić jej niestałość, jej ustawiczną zmienność, jej płynność (Znakomity psycholog amerykański James np.). Jak potok może przybierać lub opadać, wylewać lub wysychać, tak i świadomość może rozszerzać i zwężać łożysko, potęgować się lub słabnąć, powstawać lub zanikać. Między grupami, a nawet jednostkami tej samej grupy w łonie całości narodowej istnieją znaczne różnice treści, zakresu i natężenia świadomości narodowej. Jeden odczuwa obelgę, zadaną swemu narodowi, jako zniewagę osobistą, drugiego to nie zaboli. Jeden cieszy się triumfem swego narodu, jakgdyby go osobiście szczęście spotkało, drugiego to ani grzeje, ani ziębi. Jeden gotów jest dobrowolnie życie oddać, o ile jest przekonany, że sprawa narodowa tej ofiary wymaga, drugiemu myśl podobna w głowie nawet nie postanie.

Spiritus flat, ubi vult. Przykład Joanny d'Arc jest dowodem, że i w chacie wieśniaczej rodzą się jednostki czujące za miljony. Bez świadomości narodowej heroizm Joanny byłby niemożliwy. Francja, ojczyzna uciemiężona, była dla Joanny rezczywistością tak ogromną, iż jej głosowi Joanna oprzeć się nie mogła. Podobnie wzruszające widowisko zaszło w chwili wybuchu wielkiej wojny, kiedy do Francji, zagrożonej najazdem niemieckim, pędzili jak na skrzydłach wygnani swego czasu z granic ojczyzny przez sekciarski rząd francuski zakonnicy i zakonnice, ci, aby walczyć w szeregach, te aby pełnić służbę samarytańską.

I Polacy manifestują niekiedy, że są narodem. Masowe owacje ku czci powracających do Warszawy zwycięzców przestworzy powietrznych — Żwirki i Wigury, a potem odprowadzenie ich szczątków na wieczny spoczynek przez polską ludność Warszawy ujawniły zbiorowe uczucie dumy i wdzięczności względem rodaków, którzy wielkim czynem zmusili nieprzyjaciół do odegrania hymu polskiego, na triumf Polski w prusko-niemieckiej stolicy. Zbiorowe protesty w sprawie brzeskiej odsłoniły zranione sumienie polskie. Jako wyraz jedności duchowej są niejednokrotnie tego rodzaju przejawy trochę niespółmierne, reakcja jest często, żeby nie rzec przeważnie, za słaba. Silniej, niż w czasie pokoju, zdają się Polacy poczuwać do jedności duchowej podczas wojny — jak o tem świadczą obrona Lwowa i ocalenie Warszawy.

Swój stosunek do narodu może określać każda jednostka, powodując się poczuciem spólnoty dziejowej, instynktem socjalnym, sumieniem. Ale czy to określenie będzie we wszystkich wypadkach wystarczające?

W stosunkach mało złożonych poczucie spólnoty dziejowej może służyć za ster niezawodny grupie jednolitej zawodowo, a przedewszystkiem rasowo, jak np. Normanom, Mongołom, Hunnom. Wobec występującego na tle podziału pracy zróżnicowania budowy społecznej narodu, komplikują się wszystkie stosunki spółżycia do tego stopnia, iż, aby zorjentować się w dobrach i celach narodowych, trzeba dojrzeć do samoobserwacji, trzeba niejednokrotnie umieć sięgnąć w przeszłość i porównać obecny stan rzeczy ze stanem z przed stulecia, ba, z przed stuleci, trzeba zapytać o zdanie praojców, stoczyć z nimi niejedną rozprawę, a więc wejść w ich duszę.

Jeżeli ktoś nie wie o istnieniu pomarańczy, nie może jej pożądać. To, co ma być przedmiotem woli, musi wprzód być przedmiotem wiedzy. Walcząc o swój byt, naród—podobnie jak jednostka—ma do czynienia nietylko z otwartymi wrogami, którzy formułują wyraźnie cele przeciwstawne, lecz niemniej z nieprzyjaciółmi ukrytymi, którzy mu jego własne cele fałszują, aby go omamić przynętą i tem łatwiej spętać, osłabić, i wyzyskać. Najbardziej bohaterskie wysiłki mogą w ten sposób zostać zmarnowane, wzyskane dla celów wrogich. Trzeba zresztą zawsze mieć w pamięci zasadę heterogenji celów, która orzeka, że wytężone działanie w jednym kierunku osiąga incydentalnie oprócz jednego celu — zamierzonego, przynajmniej jeszcze drugi — niezamierzony.

Instynkty i uczucia pchają do działania. Ale twórcą drogowskazów jest myśl.

W tych warunkach można uważać za pewnik, że dopiero te ugrupowania, które dojrzały do samoobserwacji, które sobie poczucie spólnoty dziejowej potrafią uświadomić, które zdolne są do osiągnięcia samowiedzy (świadomość jedności świadomości),—że dopiero te ugrupowania w łonie każdego narodu reprezentują najdokładniej jedność duchową, samoistność narodu. Są to sfery intelektualne, pojmowane jak najszerzej, a więc nie wyłącznie urzędowi producenci wiedzy na katedrach, lecz wszystkie umysły prawdziwie twórcze, we wszystkich dziedzinach teorji, praktyki, sztuki.

Jaki jest stosunek liczebny warstw intelektualnych do reszty narodu? Stanowią one wszędzie znikome mniejszości. Zależnie od typu bytowania, dany naród uprawia naprzykład w 60% rolnictwo, hodowlę i t. p., zaś w 30% przemysł, rzemiosło, handel, transporty i t. p. lub też w odwrotnym stosunku, w każdym razie na twórczość, związaną z nauką i techniką, sztuką i literaturą, religją i polityką przypadnie od 1 do 10%. Naród 60-miljonowy, jak Niemcy, posiadałby tych ugrupowań *maximum* 6 miljonów, po odliczeniu rodzin jakieś półtora miljona, które prawdopodobnie należałoby jeszcze podzielić przynajmniej przez trzy, aby dojść do umysłów prawdziwie produkcyjnych. Mam wrażenie, że pół miljona będzie jeszcze liczbą zbyt optymistyczną. Jeżeli zachować ten sam stosunek dla Polaków, to otrzymamy w najlepszym razie jakieś dwieście tysięcy, jakkolwiek obawiam się, że liczba ta jest również zbyt optymistyczna.

W tym podstawowym fakcie nie byłoby nic strasznego, zważywszy że i mózg jednostki ludzkiej stanowi tylko cząstkę wagi tułowia, dla którego mimo to przedstawia ośrodek kierowniczy. Niebezpieczeństwo powstaje dopiero na tem tle, że warstwy intelektualne spotykają się na każdym terenie narodowym z napływowem ugrupowaniem intelektualnem, które się zręcznie maskuje, a jest tak silnie zorganizowane, że krępuje w rozwoju naturalnym i odpycha od warsztatów pracy spółzawodnika rdzennego, uzależnia go od siebie i wyjaławia, pozbawia go wpływu realnego na pozostałe warstwy narodu. Naród pozbawiony zaś swojej samowiedzy, a więc należytego kierownictwa, przestaje być podmiotem, staje się przedmiotem działań innych czynników, nie żyje, jeno wegetuje, jak kaleka umysłowy.

III. NARÓD-FIKCJA CZY NARÓD-RZECZYWISTOŚĆ?

Na kilka lat przed wojną światową jeden z obcokrajowców nazwał Polskę „trupem śmierdzącym". Bolesław Prus zauważył na to w „Tygodniku Ilustrowanym", że gdyby Polska miała być trupem, to czem byliby obcokrajowcy, którzy Polskę obsiedli — chyba robactwem?

Inny cudzoziemiec wyrażał się delikatniej, ale za to ogólniej: nietylko naród polski, lecz każdy naród europejski jest fikcją. Rzeczywistość stanowią we wszystkich krajach europejskich zbiorowiska ludności, poddane przymusowi władzy państwowej, a władze państwowe nigdzie narodowych urojeń nie podzielają.

W świetle rozważań dotychczasowych obelga wymieniona miałaby uzasadnienie tylko pod jednym warunkiem: gdyby, wyjąwszy znikome garstki, nie była wcale odczuwana jako obelga przez masy, a byłoby to możliwe wskutek braku poczucia spólnoty dziejowej, tak jak ślepy nie widzi kolorów wskutek braku wzroku.

Aby to dokładniej ocenić, trzeba zastanowić się nad strukturą jakościową narodu czyli stosunkiem warstw (części) do narodu (całości), albo nad wykazywanem przez warstwy poczuciem wspólnoty dziejowej.

Najniższą warstwę w każdym narodzie stanowią elementy zwyrodniałe, antysocjalne, złożone z przestępców, nierządnic, włóczęgów, żebraków i t. p. Poczucie spólnoty dziejowej u tych żywiołów jest rzadkością, cele wyższe w kierunku Prawdy, Dobra, Piękna nieomal nie istnieją dla nich.

Warstwę pośrednią tworzy w każdym narodzie olbrzymia większość, która troszczy się nadewszystko o środki egzystencji, dobrobyt i użycie, w sposób zgodny z ustalonym porządkiem prawnym, nie ujawniając poważnych dążeń do celów wyższych. Ugrupowania pośrednie odznaczają się dość słabem poczuciem spólnoty dziejowej, ulegając z łatwością suggestjom i psychozom masowym, szerzonym przez organizację obcokrajowców. W okresach praworządności spełniają te ugrupowania pożytecznie swoje funkcje socjalne, w okresach przewrotów schodzą łatwo na bezdroża, stając się dzięki zależności psychicznej podatnemi narzędziami dla szerzycieli zamętu.

Najwyższą warstwę narodu cechuje niepodległość myśli, woli i czynu, zdolność podporządkowania celów niższych celom wyższym, silne poczucie spólnoty dziejowej. Że to ugrupowanie jest w każdym układzie narodowym najmniej liczne, tego dowodzić nie trzeba. A czy ono posiada największy posłuch śród mas, decydujący wpływ na bieg spraw publicznych? Trudno chyba odpowiedzieć twierdząco. Nadomiar w warunkach obecnych, tępiących w drodze ustawodawczej rdzenne sfery intelektualne, ta najbardziej z punktu widzenia narodowego wartościowa warstwa wykazuje najmniejszą rozrodczość, poprostu wymiera.

Ponieważ we wszystkich krajach europejskich za pomocą kina, prasy brukowej, taniej powieści sensacyjnej i t.d. czynnik obcokrajowy szerzy zdziczenie seksualne, zapobieganie ciąży, spędzanie płodu, nie mówiąc o alkoholizmie, a za pomocą wadliwego ustawodawstwa podatkowego, socjalnego i t. d. państwo rujnuje całe, zdrowe jeszcze rodziny, aby z wyciśniętych śrubą podatkową pieniędzy publicznych uprawiać filantropję zasiłkową, opiekę społeczną, przeto rozrodczość przesuwa się automatycznie ze sfer, żyjących normalnem życiem rodzinnem w stosunkach jako tako uporządkowanych, do związków przygodnych sfer sproletaryzowanych albo t. zw. pospólstwa. Najbardziej zapełniają się dziećmi (czy nie mieszańcami?) domy podrzutków. Dokonywa się w ten sposób formalna selekcja nawspak, zagrażająca narodom i cywilizacji europejskiej zagładą, trzeba bowiem pamiętać, że cywilizacje zawsze upadały z braku swoich kontynuatorów i odnowicieli, gdy nie było dostatecznej liczby Greków i Rzymian, cywilizacje grecka i rzymska stały się zabytkami historycznemi.

Przed wojną światową skarżyła się do mnie pewna Angielka, żona wybitnego zoologa: my — klasa średnia — jesteśmy tak przytłoczeni podatkami, że mogliśmy wychować tylko jedno dziecko, a za nasze pieniądze podatkowe wychowywane są w przytułkach dzieci tych ludzi, którzy każdy grosz albo przepijają, albo obracają na fatałachy, albo przegrywają w karty czy totalizatora. A jak był wychowany ten jedyny syn? Zginął jako jeden z pierwszych, zaraz w pierwszych miesiącach wojny na polach Francji, dotrzymał słowa: w razie wybuchu wojny z Niemcami zgłaszam się jako ochotnik, powiedział, a ojciec mu przytakiwał wzrokiem. Ja, obcy człowiek, wspominam tę scenę z najgłębszem wzruszeniem i szacunkiem dla patrjotyzmu brytyjskiego. Otóż czy opisane zjawisko nie stało się powszechnem? Karjerą najlepszych w każdym narodzie ma być cmentarz, życie doczesne przeznacza się dla gorszych.

Widzimy jak na dłoni, że terenem, przedmiotem i celem zmagań i zapasów międzynarodowych jest nietylko ziemia, lecz i naród. Dla organizacji obcokrajowców naród jest już fikcją, gdyż chodzi jej o jego zniszczenie, dla wiernych swoich synów i córek naród nie przestał być rzeczywistością, gdyż jest punktem wyjścia i celem, źródłem i ujściem dążeń i działań zbiorowych warstw rdzennych.

IV. TONĄCY OKRĘT

Światowe przesilenie cywilizacyjne trwające już przeszło lat ośmnaście (od wybuchu wojny 1914) trawi i Niemcy. Są w Niemczech liczne koła, które zdają sobie sprawę z grozy położenia, które umieją patrzeć prawdzie w oczy i propagują odrodzenie narodu niemieckiego przez odnowienie rodziny niemieckiej. Są to między innemi koła, zgrupowane w zachodnio-niemieckiem towarzystwie genealogicznem *(westdeutsche Gesellschaft für Familienkunde)*. z siedzibą w Kolonji, z półtora tysiącem członków.

Dr. Wilhelm Hussong, jeden z członków-propagatorów idej towarzystwa, w pracy p. t. „*Familienkunde*" *(Reclams Universalbibliothek* nr. 6863, 6864) sygnalizuje ogromne spadek urodzeń w Niemczech. Na 10000 mieszkańców liczono:

W 10-leciu	1871 — 1880	407 urodz.,	288 zgon.,	119 przyr. natur.
„	1901 — 1910	339 „	197 „	142 „ „
rok	1922	237 „	151 „	86 „ „
„	1923	217 „	146 „	71 „ „
„	1924	211 „	129 „	82 „ „
„	1926	195 „	117 „	78 „ „

Liczby przyrostu naturalnego (nadwyżki urodzeń nad zgonami) wykazywałyby jeszcze większy spadek, gdyby wraz ze zmiejszaniem się urodzeń nie zmniejszała się stale śmiertelność wskutek rozwoju sztuki lekarskiej. Skąd się bierze ten spadek urodzeń? Dr. Hussong przytacza, że, według obliczenia jednego z berlińskich lekarzy policyjnych, liczba chorych płciowo w Rzeszy wynosiła (1926)

sześć miljonów, że według obliczeń znawców-lekarzy liczba wypadków spędzenia płodu wynosiła (1926) sześćset tysięcy, tak iż na trzy spędzenia przypadałoby jedno urodzenie normalne. O zdziczeniu obyczajowem, przypominającem stosunki bolszewickie, świadczy cytowane przez Hussong'a zdarzenie.

W jednem z większych miast północno-niemieckich matka jednego z uczniów gimnazjum stwierdziła u dorastającego syna objawy chorobowe, które po zbadaniu przez lekarza okazały się chorobą weneryczną. Wykryto, że ognisko zarazy znajduje się w sąsiedniem liceum żeńskiem. Poddano gruntownej rewizji lekarskiej wszystkie uczennice zakładu i okazało się, że ± 70% dziewcząt powyżej lat 14 utrzymywało stosunki płciowe, zaś ± 45% było zarażonych. Uczennice miały stosunki z młodymi kawalerami z towarzystwa i uwodziły potem znajomych uczniów, rówieśników i młodszych. Lekarz publikujący te fakty zastrzega się przeciw uogólnianiu, nadmienia jednak o podobnem rozwydrzeniu we Frankfurcie nad Menem i ocenia je jako symptomaty groźne.

A teraz zapytajmy z naszej strony, czy nie zachodzą w takich razach wypadki zanieczyszczenia rasy, opisane w świetnej powieści Artura Dinter'a p.t. „Grzech przeciwko krwi" („*Die Sünde wider das Blut*")? Czy przytoczone zjawiska nie dają w rezultacie poronień, spędzeń płodu, obciążenia dziedzicznego i t. p., słowem upadku rasowego?

Następnie Hussong przytacza jaskrawe fakty wykazujące, jaką karykaturę z życia wytwarza narzucona przez ustawodawstwo, wadliwie pojęta polityka ludnościowa, a w szczególności t. zw. opieka społeczna. Kiedy etat miast niemieckich na opiekę społeczną w stosunku do r. 1914 podniósł się dwunastokrotnie, w miastach większych i mniejszych ludzie gnieżdżą się w ciasnocie takiej, że np. według statystyki urzędowej w mieście Hirschberg na Śląsku, u stóp t. zw. gór olbrzymich (Riesengebirge), 52,8% dzieci w wieku szkolnym spało więcej, niż po troje w jednym łóżku. Aby mieszkać, jeść i odziewać się po ludzku — powiadają cytowane przez dr. Hussong'a autorytety — trzeba naprzód stać się ruiną człowieka.

Czy to wszystko nie zakrawa na niewolę, przypominającą stosunki bolszewickie? Jeden z obcokrajowców powiedział do mnie w r. 1921, że cały świat będzie musiał przystosować się do Bolszewji. Może tedy przystosowanie?

Podaję te rzeczy nie dlatego, abym chciał Niemcom dokuczyć. Przeciwnie, mam dla nich respekt, że nie cofają sie przed obnażaniem własnych ran i zabiegiem chirurgicznym celem uratowania ciała narodowego od gangreny. Chodziło mi o przygotowanie czytelnika do wywodów ostatecznych. Tym wywodem ostatecznym jest sygnał ratunku — okręt tonie! Zresztą niech mówią sami Niemcy:

„Jeżeli zastanowimy się" — powiada Paull, którego cytuję za Hussong'iem — „że właśnie u dzielniejszych ludzi ogranicza się urodzenia nietylko w Niemczech, lecz u wszystkich narodów cywilizacji zachodniej, podczas kiedy upośledzeni nie znają przeszkód rozrodczości, podnoszą się obawy, czy nie stoimy wogóle wobec upadku Zachodu, co Oswald Spengler uważa z innych względów za nieuniknione. My, Niemcy, w sercu Europy, jesteśmy najbardziej narażeni na to niebezpieczeństwo. Obwód geograficzny, który nazywamy obecnie lub który nazywaliśmy „Niemcami" będzie wprawdzie zawsze zamieszkały przez ludzi. Być może ludzie ci będą się nazywali „Niemcami", a ich państwo „Rzeszą niemiecką". Lecz przy ciągle postępującym spadku urodzeń (-(nasza uwaga: zwłaszcza spadku urodzeń z rodziców najbardziej z punktu widzenia narodowego wartościowych)-) nie da się przeszkodzić, aby ze wszystkich krańców napływali obcy... Niemcy będą zamieszkałe przez ludność mieszaną, która nie będzie czciła tradycji niemieckiej i obyczaju niemieckiego. Lud złożony z bastardów będzie zamieszkiwać kraje niemieckie... Nowa rasa będzie ludem helotów. Zmuszona będzie do oddawania posług niewolniczych ludom dzielniejszym".

Wszyscy uczeni, zbliżeni do kół powyższych, formułują zgodnie zagadnienie przyszłości Niemiec w ten sposób, że o podźwignięciu albo upadku Niemiec zdecydują ojcowie i matki, z których zrodzą się nowe pokolenia.

Drugi cytowany przez Hussong'a autorytet idzie w konsekwencjach jeszcze dalej, zazębiając niepostrzeżenie o politykę zagraniczną.

„Kierownicy narodów" — mówi Polland, którego cytuję również za Hussong'iem — „czy to samowładczy, czy też reprezentanci ludowi winni wreszcie zaprzestać znajdować szczęście powierzonych ich opiece w czysto zewnętrznych rzeczach, jak bogactwo, potęga i zwycięstwa wojenne; winni oni zrozumieć, że wartość narodu zależy od jego odziedziczonego dobra biologicznego, winni oni dobrze pojąć nauki historji, która do nich woła: cóż przyjdzie waszemu narodowi, jeżeli zyska panowanie nad światem, lecz poniesie szkodę na swojem odziedziczonem dobru rasowem?"

Rozwińmy tę myśl dokładniej: cóż przyjdzie jakiemukolwiek narodowi, jeżeli zdobędzie rzekome panowanie nad światem, lecz wskutek nadmiernego upływu krwi zacnej, więc niezastąpionej, i utraty poczucia spólnoty dziejowej (albowiem jedno z drugiem ściśle się łączy, bo człowiek jest istotą psychofizyczną), ów zwycięzca przestanie istnieć, jako naród, przestanie być samym sobą?

Trzeba w tej perspektywie spojrzeć na spór polsko-niemiecki i politykę Niemiec względem Polski, zagrażającą kataklizmem. My, Polacy, musimy, niestety, powtarzać zdanie, wygłoszone na krótko przed wybuchem wojny światowej przez znakomitego ambasadora Francji (Jules Cambon'a): *„il faut tenir notre poudre sèche"*. Ale postawmy sprawę jasno: co Niemcy mają do wygrania? Imperjum środkowo-europejskie? Przypuśćmy nawet, że tak. A co mają do stracenia, nie w razie klęski, lecz w razie zwycięstwa? Samych siebie. Gdyby nawet powiodło im się zwyciężyć, to nie dla Niemców, jeno dla obcych.

Okręt tonie. Na tym tonącym okręcie znajdują się jednak... wszystkie narody europejskie i ten ktoś — nazwijmy go korsarzem — kto umiał zabezpieczyć dla siebie środki ratunkowe w razie katastrofy zatonięcia i kto chciałby nareszcie zawładnąć wszystkiemi nagromadzonemi skarbami świata, a bez wywołania pożogi wojennej i wzajemnego wymordowania się prawych właścicieli nie może.

Ocalić okręt naszej cywilizacji, ocalić wszystkie narody europejskie, może tylko długotrwały pokój, stowarzyszony z wewnętrzną akcją obronną na wielką skalę. A pokój, to poszanowanie traktatów międzynarodowych...

Okręt tonie. Czy pójdzie na dno, jak storpedowana przez Niemcy „Lusitania"?

To głównie, to najbardziej od Niemców zależy.

IGNOTUS

ZATARG POLSKO-ŻYDOWSKI Z R. 1815

(Dokończenie)

IV

BEZCEREMONJALNOŚĆ, z jaką p. Br. traktuje źródła historyczne, opuszczając niewygodne dla swej tezy partje dokumentów, rozdmuchując przesadnie inne wiadomości, przeinaczanie lub naciąganie zeznań studentów zrodziły dalsze nasze podejrzenia. Zaczęła nas ogarniać pasja dotarcia do starannie ukrytej przez autora artykułu prawdy historycznej, rozciekawiła nas nietylko całość akcji antyżydowskiej, ale i jej fragmenty.

Osoba p. Br. zeszła na dalszy plan, postanowiliśmy sięgnąć do źródeł rękopiśmiennych, których p. Br. nie zna i nie badał, a które znów postawiły pod znakiem zapytania jego naukową sumienność i prawdomówność. Pan Br. podaje, że Rząd Uniwersytetu „wydalił Mikulskich i Fl. Dzierdziejewskiego na 3 miesiące z uniwersytetu“. Zagadką pozostaje dla nas dotąd pytanie, skąd p. Br. wziął owe 3 miesiące, tak surową karę za drobne wykroczenie?

W dwu tomach rękopisu Bibl. Jag. nr. 976, który był jedynem, wskazanem przez autora, źródłem jego wiadomości, nie znaleźliśmy tekstu wyroku, skazującego studentów, ani jego motywów, podanych przez p. Br. tłustym drukiem. Może przeoczyliśmy dokument, cytowany przez p. Br.; w każdym razie byłoby rzeczą niezmiernie interesującą, gdyby p. Br. ujawnił, skąd zaczerpnął wiadomości o karze 3 miesięcy? Czekać będziemy z zajęciem odpowiedzi na to pytanie. Materjały z pierwszej ręki, które wciągnęliśmy w obręb naszych badań, podważają bardzo stanowczo informacje p. Br.

W „Dzienniku czynności rządowych 1815 r.“ (Archiwum Kuratorji Wileńskiej X. A. Czartoryskiego, rks. nr. 40) znaleźliśmy obszerny protokuł 90 extraordynaryjnej sesji Rządu Uniwersytetu, na której „roztrząsano raport delegowanych... do wyprowadzenia examinu ze studentów Uniwersytetu względem dopełnionej akcji na dniu 8 paźdz. r. t.“ Poczem następuje opis zatargu studentów z żydem Abelsonem i jego synem, przedstawiony na podstawie raportu komisji uniwersyteckiej.

Po wysłuchaniu raportu delegowanych Rząd Uniwersytetu postanowił:

„...ponieważ z odbytego examinu nabiera się przekonanie, że wyż rzeczeni studenci przez własne wyznanie i przez poparte świadectwa wielu innych okazali się istotnie być winnymi mniej lub więcej w miarę należenia do akcji. I gdy z takowego postępku widocznie się okazuje naruszenie onej spokojności i nieuszanowanie dla urzędnika uniwersyteckiego, zatym duch podobnego zepsucia i przykład gorszący w gronie studentów uniwersyteckich dalej cierpiane być nie mogą, spełnienia więc surowej kary na przestępców sama sprawiedliwość wymaga. W miarę więc popełnionego występku podział kary Rząd Uniwersytetu przeznacza następujący:

1-o. Józef Mikulski i Florjan Dzierdziejewski jako będący pierwszymi przewodnikami do popełnionej akcji dnia 8 października, a przez to swoim przykładem wielu innych pociągnęli do tego postępku, nadto zapominając na obowiązki winnej uległości i przeciwko uszanowaniu dla urzędnika Uniwersytetu stali się przyczyną wrzawy i nieprzyzwoitego znalezienia się w miejscu, poświęconem dla publicznej edukacji, chociaż zasłużyli, aby na ich osobach spełnić surowy wyrok dla przykładu innych, jednak Rząd Uniwersytetu zostawując czas i sposobną porę do poprawy w czasie dalszym, sądzi ich na rekolekcje pod zamknięciem na dni pięć, z tych 3 dni o chlebie i wodzie w klasztorze X. X. Misjonarzów.

2-o. Józef Becu, Marcin Dzierdziejewski i Izydor Mikulski, którzy będąc przekonani o tenże tam występek, lecz pociągnieni tylko przykładem dwóch pierwszych zdaje się stopień ich winy zmniejszać, przeto sądzą się na rekolekcje i w tymże klasztorze na dni 4, z tych dwa dni o chlebie i wodzie. Walenty Wolf, Aleksander Estko, Eustachy Wołłowicz, Józef Przecławski, Ignacy Siesicki, Stefan Dernałowicz i Antoni Przesmycki, których wykroczenie chociaż jest mniejsze, lecz za łatwość, jaką okazali w przystąpieniu do akcji, zasługują na surowe napomnienie...

Dekret niniejszy po ogłoszeniu ma być nazajutrz przyprowadzony do skutku względem osób Józefa Mikulskiego i Florjana Dzierdziejewskiego, którzy mają się stawić przed godziną 9 u zastępcy Rektora, skąd będą odesłani na miejsce ich pokuty i równie po upłynieniu zamierzonego im czasu mają być przyprowadzeni napowrót, takoż do zastępcy Rektora po odbyciu kary przez nich wyznaczonej mają być posłani Józef Becu, Marcin Dzierdziejewski i Izydor Mikulski. Ogłoszenie dla winnych ma być w sali rządowej, a dla dalszych w sali fizycznej i historji naturalnej przez dziekana oddz. fizy“.

Przytoczyliśmy obszernie motywy wyroku, z których okazuje się, że dużą rolę przy wymierzaniu kary, odegrało zachowanie się studentów wobec dziekana oddziału fizycznego ks. Mickiewicza, kiedy chciał rzecz na miejscu zbadać. Studenci „przez wczesną z sobą zmowę w jego obecności zaczęli krzyczeć, że wszyscy są winni, dodając do tego stukanie nogami i laskami“. Ten objaw nieposłuszeństwa, zagrażający dyscyplinie uniwersyteckiej, stanowił, jak się wolno domyślać, jeden z głównych powodów ukarania studentów. Chodziło poprostu o odstraszenie tych wszystkich, którzyby chcieli naśladować sprawców „stukania nogami i laskami“ na lekcji fizycznej. Wskazuje na to zresztą i nieprzytoczony przez nas ustęp z cytowanego już protokułu obrad Rządu Uniwersytetu. Nietylko zatem zatarg z żydem Abelsonem, ale i wyłamanie się z pod rygoru szkolnego, owo wykroczenie „przeciwko uszanowaniu dla urzędnika Uniwersytetu“ stało się powodem skarcenia studentów.

O wydaleniu na 3 miesiące niema ani śladu w urzędowym protokule, a więc źródle nie budzącem podejrzeń. Studenci zostali skazani na 5 i na 4 dni, a nie na 3 miesiące, jak to w swojej pracy podaje p. Br.

O 3-ch miesięcznym wymiarze kary niema również mowy w drugim urzędowym dokumencie,

jaki mieliśmy w ręku, w raporcie ogólnym o uniwersytecie wileńskim za rok 1815 (Archiwum Kuratorji wileńskiej X. Ad. Czartoryskiego, rks. nr. 94, przejrzałem go w Wilnie, w bibljotece uniwersyteckiej, gdzie się w r. ub. znajdował, dzięki uprzejmości p. Mich. Ambrosa).

W raporcie, przesłanym przez władze uniwersyteckie kuratorowi, znaleźliśmy ustęp, poświęcony akcji studentów z dn. 8 paźdz. 1815 r. „Z wyprowadzonego śledztwa — czytamy w raporcie — tych, którzy się okazali być winnemi, w miarę popełnionego postępku sądził (Rząd Uniwersytetu) na następującą karę: Józefa Mikulskiego i Florjana Dzierdziejewskiego na rekolekcje w klasztorze X. X. Misjonarzów na 5 dni, z których trzy dni zostawali na chlebie i wodzie; Józefa Becu, Izydora Mikulskiego i Marcina Dzierdziejewskiego na 4 dni, 2 dni o chlebie i wodzie. Siedmiu zaś dalszych, którzy byli uczestnikami w tej akcji, lecz z mniejszem wykroczeniem surowie zostali napomnieni. Takowy wyrok został ogłoszony wszystkim studentom przez dziekanów tych oddziałów i był przybity do tablicy“.

W motywach wyroku senat uniwersytecki podnosi, że studenci zostali skazani nietylko za potłuczenie okien i dachu w kuczce żydowskiej, ale i za „okazane nieuszanowanie dla dziekana oddziału nauk fizycznych w czasie lekcji, kiedy ich chciał upominać za ten występek“.

Znów, jak widzimy, ani śladu owych trzech miesięcy, o których prawi w swej pracy p. Br.

Mając przed sobą dwa tak poważne, najbardziej wiarygodne dokumenty, musimy przyjąć, że studenci zostali skazani na 5 i na 4 dni, a wydalenie na trzy miesiące — dopóki p. Br. nie ogłosi, skąd wziął swoje informacje i nie obali autentycznych danych, przez nas ogłoszonych — śmiało możemy „między bajki włożyć“.

V

Ostatni dział ciężkich nieraz przewinień p. Br. wobec nauki stanowią błędy, jakie poczynił, cytując — znalezione w rękopisie Bibl. Jag. w Krakowie — źródła historyczne. Podobnego niechlujstwa w traktowaniu tekstów rękopiśmiennych dawno już nie spotykaliśmy. Pierwsze potknięcie obserwujemy przy podaniu liczby rękopisu. Pan Br. pisze w odsyłaczu: Rkp. nr. 876 Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdy tymczasem jest to rks. nr. 976 i nie z Archiwum, a z — Bibljoteki Jagiellońskiej — (istnieje odrębne „Archiwum Senatu Uniw. Jag.“).

W zacytowanym *in extenso* doniesieniu prof. Jundziłła niczem nie zaznaczył opuszczenia ważnego i sporego ustępu o Jansonowej, przez co świadomie wprowadził w błąd czytelnika, który nie miał możności zestawić obydwu tekstów: rękopiśmiennego i ogłoszonego drukiem. W zakończeniu doniesienia opuścił p. Br. następujące zdanie: „To donoszę najrychlej“ oraz miejsce i datę wysłania pisma. W zeznaniu Józefa Mikulskiego brak ważnego dosyć określenia, że żyd młody mówił do idących studentów „z naigrawaniem się“ o Polsce. Słowa „z naigrawaniem się“ zostały opuszczone.

W zeznaniu Lejby Abelsona w wierszu 13 od góry brak „i w sieniach spotkał“, zamiast tego mamy „do“ profesora. Ustęp o Jansonowej również został starannie opuszczony.

Drobnych błędów, których pełno jest w pracy p. Br., a które możnaby przypisać zecerowi lub złej korekcie, nie przytaczamy. Pomysłowość p. Br. idzie tak daleko, że nawet niektóre wyrażenia cytowanych przez siebie tekstów przerabia, np. w doniesieniu prof. Jundziłła czytamy „W tym momencie“, p. Br. podaje „W tej chwili“. Co za wzruszająca dbałość o puryzm językowy prof. Jundziłła!

Wreszcie nieumiejętność odczytywania wcale wyraźnego rękopisu. W zeznaniu Abelsona podaje p. Br., że „zeznający (t. j. Abelson) wszedł z profesorem do sali dla pokazania uderzonego“. Powinno być „winnego“, a nie „uderzonego“, gdyż uderzonym był syn Abelsona i tego pokazywać ojciec nie potrzebował. Nieodczytany przez p. Br. wyraz w zeznaniu Abelsona brzmi: Tak „dalece, że p a s u j ą c s i ę“ oba razem do sieni wpadli. A więc nie było jednostronnego bicia żyda ale wzajemne mocowanie się. Najzabawniej jednak wypadło odczytanie nazwiska jednego z oskarżonych studentów. Pan Br. nazwisko jednego i tego samego studenta raz czyta jako — Sitko — drugi raz jako — Estko —. Zeznawał, według p. Br., Aleksander Estko, a skazany został Aleksander Sitko. Co za cudowna metamorfoza i jaka — niearyjska zgoła — łatwość w zmienianiu nazwisk. Sprawdziliśmy brzmienie nazwiska owego studenta. W „Liście osób, które się zapisały w r. 1815 m-ca września do księgi wpisowej uczniów Imperatorskiego Uniwers. Wil.“ (rks. 95, Archiwum Kur. Wil. X. Ad. Czartoryskiego), oraz w księdze wpisowej studentów Imper. Wil. Uniw. na r. 1814 — 1815 (rks. 207, Archiwum Kur. Wil.) znaleźliśmy nazwisko: Aleksander Estko, religja reformowana, ur. w gub. mińskiej w r. 1795, natomiast ani w 1815 ani w 1816 r. niema zapisanego studenta Sitki.

Trzeba zatem przyjąć, że w r. 1815 oskarżonym studentem był Estko.

Na tem kończymy rejestr grubszych błędów, jakie p. Br. tak hojnie rozsiał w swej niewielkiej pracy.

Zamykając nasze uwagi o zatargu studentów wileńskich z żydem Abelsonem z r. 1815, należy stwierdzić, że był to drobny epizod w dziejach polsko-żydowskich sporów i poważniejszej roli nie odegrał.

Ciekawszy od samego przebiegu zatargu jest sposób przedstawienia ówczesnych wypadków przez p. Brandstaettera. Współpracownik „Miesięcznika Żydowskiego“, organu, który chce i mógłby uchodzić za poważny, tak bezceremonjalnie obszedł się z przeszłością dziejową, tak nic nie dbał o ścisłość i sumienność naukową, tak się mozolił, żeby wykazać, jak prac historycznych pisać nie należy, że niepodobna było puścić mu tego wszystkiego płazem. Trzeba było wykazać, jak się rozdyma nikłe zatargi do rozmiarów „pogromu“, jak się robi „bicie żydów“ i jak dobrze jest wyniki badań żydowskich sprawdzać.

Rozprawka p. Brandstaettera nosi wszystkie cechy pospiesznie pisanego artykułu w nienazbyt poważnym dzienniku. Nawet graficznie starał się autor zapomocą jaskrawych wytłuszczeń zbliżyć do gatunku pisma sensacyjnego.

„Wybryki antyżydowskie studentów Uniwersytetu Wileńskiego w r. 1815“ należało ochrzcić trafniejszą nazwą — „Wybryki p. Brandstaettera“ przeciw nauce i zwykłej sumienności pisarskiej.

TADEUSZ BIELECKI

NA WIDOWNI

Przewrót w publicystyce. — 25-a rocznica śmierci J. L. Popławskiego. — Jego intuicja. — Idea ludu i narodu. Odnalezienie narodu, który był się zgubił. — Zasługa Popławskiego.

W DNIU 12 marca r. b. minęło 25 lat od śmierci Jana Popławskiego, genjalnego twórcy polskiej myśli politycznej w dobie nowoczesnego odrodzenia narodowego. Zapamiętać należy następującą tabelkę dat jego życia:

Urodzony 1854—zmarł 1908, żył lat 54, z tych 24 lata — w pracy pisarskiej.

1878 — 1883 więzienie i zesłanie.

1884 — 1886 w redakcji „Prawdy".

1886 — 1894 redaktor „Głosu".

1895 — 1906 we Lwowie: „Przegląd Wszechpolski", „Wiek XX", „Polak" i „Słowo Polskie". Najlepszych lat 11. Szczyt rozwoju.

1906 — 1908 Warszawa, „Gazeta Warszawska".

Patrzyłem na jego pracę 20 lat od r. 1888. Produkcję jego pisarską obliczam (ze strony mechanicznej) na jakieś 48 tomów po 300 stron 40-to wierszowych. Z tego w osobnem wydaniu ukazały się tylko trzy tomy [1]) — po śmierci autora. 45 tomów spłynęło w falach bibuły prasowej do morza bezimiennego w duszach ludzkich. Nic nie ginie. I druki są pewno w składach bibljotecznych.

Wiele pisał, pomimo że pisać nie lubił. W żadnym razie nie miał nic wspólnego z tymi pisarzami, których naturą staje się grafomaństwo. Zaświadczyć dalej mogę, że nie pisał dla paradowania i sławy: z równą starannością pisał notatki i artykuły bezimienne, jak te, które znaczył nazwiskiem. Wreszcie — praca jego nie pozostawała w żadnym stosunku do stopy wynagrodzenia, to znaczy zarobek nie był bodźcem jego wysiłku.

Pisał, bo to była forma jego tworzenia. Tworzył w ten sposób duszę narodu i jego myśl. Pisanie było postacią działania. Nie pisał dla literatów, lecz miał podświadomie na widoku jakiegoś marzonego odbiorcę zbiorowego, z którym związał go los życia i któremu służąc, sam rósł w swej indywidualności. Pisanie wyczerpywało go nie swoją mechaniką, lecz owem napięciem ducha, w którem zyskiwał kontakt z myślącem sercem narodu. Tak wyczerpuje się medjum w doświadczeniach hypnotycznych. Tego typu publicysta jest medjum, wyczuwającem duszę zbiorową.

To właśnie było tajemnicą jego słowa, płynącego z głębokości duszy polskiej; stąd jasność i prostota stylu; stąd rzeczowość, bo słowo jego nie namawiało do marzeń, lecz do zajmowania właściwego stosunku do rzeczy. Myślał o rzeczy polskiej intuicyjnie. Nigdy nie pozwolił sobie na zabawę artystyczną piórem, on swem piórem wyznaczał rzeczywistość objektywną.

Z pism Popławskiego trudno wyjąć jakąś całostkę, któraby miała znaczenie czysto literackie; niema tam nic dla frazesu, doktryny, obrazu poetyckiego, czy konceptu. Wyjawiał to, co w życiu wypatrzył. Było to życie samo z dodatkiem jego świadomości. Był przez to politykiem, wykonywającym najważniejszą część w procesie myśli politycznej, jeśli ta ma być wyrazem dążeń narodowych. Był to pierwszy człowiek, od którego słyszałem wyraz naród w znaczeniu czegoś realnie żyjącego, z czem się można porozumiewać. On go czuł pod ręką jako jednolitą całość od kresu do kresu i we wszystkich warstwach, czuł jako istność geograficzną, etniczną, społeczną i historyczną. Wzrok duchowy Popławskiego utkwiony był w jakieś intuicyjnie wypośrodkowane miejsce, w którem widział sekret życia narodowego. Był to lud.

Wyobraźnię miał taką pod tym względem, jak Wyspiański. Szukając konkretu dla pojęcia „naród", poeta ten — tak samo jak współczesny Popławski — podkładał pod tę ideę konkret „lud", a dla tem realniejszego widzenia malował mu sukmanę. U Popławskiego w podobnie działającej wyobraźni lud stał się koncepcją metody socjologicznej, którą jak kluczem otwierał zagadnienia polityczne. Był nawet czas, kiedy skłonny był wyobrażać sobie, że lud reprezentuje w Polsce właściwą jej cywilizację, a wszystko, co ponad tem, jest źle do niej przylegającą dobudówką cywilizacji innej. Zmodyfikował rychło ten pogląd, ale zawsze za rdzeń drzewa polskiego uważał lud i tu szukał wskazań jego żywotności. Dosyć powiedzieć, że za punkt wyjścia programu stronnictwa demokratyczno-narodowego, który był jego dziełem, postawił tezę: „interesy ludu są równoznaczne z interesami narodu". To był nie tylko symboliczny kamień węgielny, który legł u podstawy naszego programu narodowego (1897 i 1903); na ten węgieł, w tym stylu stanął cały program.

Odrzuciłem umyślnie pojęcie symbolu. Popławski był zaprzeczeniem symbolistyki. Możemy nie wychylać się poza ocenę jego stylu pisarskiego, aby to widzieć. W pisaniu nie czuł potrzeby uciekania się nawet do metafor, starczyło mu prawdy, którą widział, aby przekonywać i porywać. Była to wymowa faktów i bezpośredniego do tych faktów stosunku duszy patrjotycznie myślącej.

Zdarzało mi się słyszeć przypuszczenie, że stanowisko ludowe Popławski zawdzięczał wpływom rosyjskiego prądu chłopo-mańskiego, z którym się zetknął na zesłaniu w Rosji. Zwłaszcza dopatrywano się wpływu znakomitego pisarza Gleba Uspienskiego. Zapewne ideologja rosyjska tego kierunku miała wiele uroku, ale przecież wiemy, jak mało była twórcza przez to samo, że rozbijała jedność narodową. Popławski po chłopsku się nie ubierał i nie był demagogiem. Interesy ludu były dla niego kryterjami dobra narodu, ale z drugiej strony on, nie kto inny, postawił zasadę uspołeczniania ludu pod hasłem obowiązków wobec narodu (nie praw). W tem widział drogę nobilitacji chłopa. Przedewszystkiem jednak należałoby zapytać, czy odwrotnie prądy ludowcowe nie przedostały się do Rosji z Polski. Czemże była praca polskiej myśli politycznej od rozbiorów, jak nie szukaniem kontaktu duchowego z ludem? Stąd prądy przenikające poezję (romantyzm), naukę (ludoznawstwo), filozofję, programy pracy społecznej, każdy zamysł insurekcyjny. Szło nieraz daleko, aż do pomysłów komunizmu ludowego. Ojciec Popławskiego, ziemianin z Lubelskiego, stał blisko ks. Piotra Ściegiennego, a ten dążył przecie do ustroju komunistycznego wsi polskiej. W temże pokoleniu, wśród którego wzrastał Jan Popławski, był myśliciel Henryk Kamieński, krewniak ideologiczny ks. Ściegiennego. A taki Edward Dembowski, syn kasztelana Ignacego z Puław! Bliżej było Popławskiemu do jego wznios-

---

[1]) „Pisma polityczne" 2 tomy. Warsz. 1910. — „Szkice literackie i naukowe". Warsz. 1910.

łej, romantycznej teorji ludu i jego praktyki ofiarnej, niż do obcego Uspienskiego.

Popławski był w myśleniu pozytywistą, ale tym, który nie uronił żadnej wartości narodu, przekazanej w tradycjach poprzednich odkryć. Umysł jego nawskroś syntetyczny miał w sobie żywe pierwiastki ruchu romantycznego ojców: historycyzm i ludowość, ale romantyczne poczucie osobowości i potęgi przeniósł z jednostki na naród. Nie w sobie dla romantycznego gestu, lecz tam w łonie narodu mierzył siły, czy starczą na zamiary. Żyła w nim tradycja walki zbrojnej, ale wojsko nie było już dla niego jedyną postacią siły narodowej. On pierwszy w publicystyce sygnalizował, że czuje przypływ sił narodowych w społeczeństwie z tego powodu, że dorosło nowe pokolenie ludowe, nie znające już pańszczyzny. Na tym fakcie oparł rachunek odrodzenia narodowego. Wychodząc nie z haseł i symbolów, lecz z faktów, zrobił z rozłożonych na rozmaite prądy pojęć o ludzie (poetyckich, militarnych, ekonomicznych i socjalnych) jedną zasadniczą kategorję życia organicznego narodu. Tak doszedł do nowożytnej koncepcji narodu jako siły państwowo-twórczej.

Popławski ściągnął pojęcie narodu ze sfer mitu czy symbolu i przedstawił go oczom pokolenia, szukającego dla myśli realnego oparcia, jako istność żywą, mającą swoje wymiary (historyczny, geograficzny i cywilizacyjny). Naród jest bytem nie do zagładzenia, odkąd poczuł swe siły, odkąd zwłaszcza uświadomił swą jedność wewnętrzną i odrębność zewnętrzną. Jego niepodległość jest postulatem życia samego, nie wymagającym uzasadnienia i nie znoszącym kompromisów.

Umieć spojrzeć na znaną rzeczywistość nowemi oczyma — znaczy tworzyć. Popławski był twórcą.

Więc—jeśli chodzi o jego dar pisarski, który wziąłem tutaj za temat — Popławski nie pisał nerwowo. Nie drżała mu ręka. Był spokojny o swój temat. Połączony był z nim nie przelotnem uniesieniem, ani koncepcjami literackiemi, które trzeba chwytać na gorąco, bo uciekną, lecz jakiemś głębokiem ustosunkowaniem wewnętrznem, które przenosi myśl do serca i wyrównywa podmiot z przedmiotem, dając równowagę duchową.

Nie umiem sobie wyobrazić Popławskiego, dyktującego artykuł stenotypistce! Ćmiąc fajkę, stawiał litery jak artysta ze świadomością każdego znaku, bez pośpiechu, głęboko zamyślony. Żadne słowo nie pochodziło z próżni, ale też żadne nie trafiało w próżnię. Każde poparte było faktami, nawiązującemi czytelnika do rzeczywistości, której dotąd nie widział, wprowadzało go za rękę w krąg widzeń autora. Wielkie też było znaczenie Popławskiego jako wychowawcy. O to mu w pisaniu chodziło, żeby pomnożyć szeregi tych, którzyby bezspornemu i potężnemu życiu narodu nadawali świadomość i kierunek.

Popławskiego styl pisarski dokonał przewrotu w publicystyce. Podczas gdy jedni apelowali do uczucia, a drudzy do rozumu w imię praw jednostki tworzenia doktryn lub konstrukcyj poetyckich czy politycznych, w których gubił się temat główny: naród, — Popławski odgarnął to wszystko, aby przemówić w imię objektywnego interesu narodu. Realizm polityczny Popławskiego zburzył szyki wszystkim obozom.

Jeżeli pozytywizm był reakcją na frazes i symbolikę, to Popławski był pozytywistą, jeżeli zaś polegał na zarzekaniu się wielkich celów i imponderabiljów — to Popławski był romantykiem. Zburzył szyki i realistom i symbolistom, a przedewszystkiem dyplomatom ugodowości. Przeciwstawił się świadomie socjalizmowi, obdarł z zasługi patrjotyzm uczuciowy, odświętny i zrobił rzecz doniosłą, bo połączył program maksymalny w celach z programem polityki realnej w środkach.

Jednem słowem Popławski stworzył metodę myślenia politycznego, jedynie odpowiednią dla narodu, który miał wkrótce stanąć do gry o swą niepodległość. Dyletantyzm, improwizacja, awanturniczość, sprawy gustów i doktryn po tem, czego dokonał w umysłowości Popławski, są już anachronizmem. Nie wolno już dzisiaj zgadywać, kto ma być panem Polski czy gospodarzem. Suwerenność w Polsce należy do narodu i tego już nie zmieni żaden bunt przeciw rozumowi stanu, na jaki sobie pozwalają opóźnieni w kulturze duchowej dyletanci.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„MNIE SIĘ TO NIE PODOBA, ale u nas inaczej nie można...“ Polityczny stan rzeczy w Polsce istotnie mało komu się podoba; ale dość powszechna także, zwłaszcza wśród starszego pokolenia, jest skłonność do niewyjawiania poglądu, że powinno być lepiej, że to, co się dzieje, jest poniżej obowiązującego poziomu cywilizacyjnego. Ta rezygnacja z własnych poglądów jest bardzo charakterystycznym szczegółem w myśleniu społeczeństwa o sprawach politycznych. Nic w tak ironicznem świetle nie wystawia legendy o indywidualizmie polskim. Nic nie przyczynia się tak bardzo do ustalenia życia publicznego na poziomie, ze wszystkich u nas możliwych, najniższym. Jak łatwo ludzie ponoszą ofiarę z tego, co w sumieniu uważaliby za dobre i potrzebne dla Polski — gdyby nie poczytywali za pewnik, że nas nie stać na te dobre rzeczy. Dziwna zaiste jest karność wewnętrzna, co poskramia odruchy tych prawowitych życzeń. Iluż to ludzi pragnie dożyć chwili, kiedy mogliby nareszcie poczuć się dumni z politycznej Polski, i jak wielu zarazem umie w siebie wmówić, że zachcianki takie — to coś niebezpiecznego, warcholskiego. Dzięki temu w Polsce utrwala się porządek publiczny nie na miarę prywatnych pragnień, ale na miarę tolerancji ogółu wobec tego, co mu się nie podoba. Wiele jednostek, zwłaszcza z pośród umiarkowanych sanatorów, szuka nawet niejakiej chluby w tej fałszywie pojętej karności, która nakazuje tłumić wszelki wyraz prywatnych życzeń w zakresie polityki. W dzisiejszych czasach złem dziedzictwem jednostronnej szkoły historycznej okazuje się ten ślepy strach przed indywidualizmem. Jakże karykaturalny jest stan rzeczy, kiedy znaczna część oświeconego społeczeństwa znosi najdotkliwsze zniewagi, wyrządzane kulturze i tradycji ojczystej, wmawiając w siebie, że protest byłby warcholstwem. Toż gdyby razem się odezwano, zamiast chować zdania pod korcem, powstałby nie zgiełk bezładny, lecz raczej — zgodny chór i prawdopodobnie Polska wydźwignęłaby się nareszcie na poziom, godniejszy jej wiekowej cywilizacyjnej tradycji. Rezygnacja, a nie indywidualizm przesadny, jest dzisiaj złem dotkliwszem. Naród wszczepił w dusze cywilizowanych jednostek nie odrębne

i przygodne, lecz zbliżone i pokrewne ideały i dążenia; to fatalne złudzenie złej nauki o społeczeństwie, że każdy głos wolny musi jedność i porządek rozstroić. Tragikomiczna dyscyplina odruchów sumienia i dobrego smaku politycznego w dużej części społeczeństwa stwarza właśnie warunki do przydługiego panowania w Polsce stosunków zbyt prymitywnych. Któżby przypuszczał, że formuła poety: „Serce — a to Polska właśnie“ — zabrzmieć będzie mogła w uszach zwolenników panującego w Polsce *régime*'u jak hasło niebezpieczne, wywrotowe... że w wykładni urzędowej za cnotę obywatelską podawane będzie właśnie powściąganie odruchów serca i sumienia.

NARÓD BEZWARUNKOWO POTRZEBUJE SIŁY; zachodzi tylko pytanie, gdzie szukać jej należy. Siła może być albo wnętrzna, albo w stosunku do cywilizacji narodowej zewnętrzna. Jest wielkiem niebezpieczeństwem dla przyszłości narodu, kiedy zawierza się jedynie sile zewnętrznej, choćby usiłowała służyć jego interesom. Podwójnie niebezpieczne jest dla narodu, gdy nazbyt suggestjonuje się ideą Wodza. Po pierwsze, gotów poczuć się na bezdrożu, gdy Wodza, co prowadził, zabraknie. Powtóre, w tym stanie rzeczy ponad wszelką miarę słabnie w duszy jednostki poczucie odpowiedzialności za sprawy publiczne. Przestają one być tem, czem są w istocie: własnością sumienia zbiorowego. Załatwia je Wódz gdzieś na niedosięgłych wyżynach, samotnie. Obraz tego naszkicował niedawno ks. wiceminister Żongołłowicz. „Kogo Opatrzność wyniosła na szczyty najwyższe — ten wiecznie jest samotny. Zamknięty w osobowości swojej, samotnie krążyć musi w swej orbicie, dążąc z nieuniknioną koniecznością do realizacji swego przeznaczenia. Biała mroźna cisza go otacza. Lodowy wicher targa samotną duszę, serce przepalają płomienie własne i ognie przeznaczenia“. Naród nie bierze żadnego udziału w tem misterjum, i zupełnie nie rozumie, co się dzieje. Dopiero „Wódz nasz siłą atrakcyjną skupia w gromady jednostki rozproszone, przenikliwe dla fal promieniowania, jednoczy je i spaja promieniotwórczą energją swego ducha“. Spaja, lecz nie wszystkie. Los niedostępnej oddziaływaniu Wodza części społeczeństwa ks. wiceminister zobrazował w słowach następujących: „Bezwładne masą spoczynkową, nieprzenikliwe dla fal promieniowania, ugięte naporem promieniotwórczej fali, oddalają się, rozpraszają i nikną gdzieś w przestworzach“. Słowem, najżywotniejsze sprawy narodu wydzielają się w odrębną specjalność dla samotnego Wodza. „W kosmicznych przestrzeniach krążą miljardy gwiazd olbrzymich samotnie, bez spotkań i bez zbliżeń“. Zimno jest poza sferą oddziaływania tych gwiazdorów. „Poza obrębem ich ogni własnych i własnych promieni panuje wieczny mróz straszliwy i bez życia“. Tak się przedstawia, w obrazowem, lecz urzędowem przedstawieniu zdolność społeczeństwa do samodzielnej obrony narodowego bytu. Jak radykalnie odmienna to koncepcja od wyrobionego przez cywilizację zachodnią pojęcia, że w życiu narodu niema wielkich zadań tajemniczych, zrozumiałych tylko dla przywódców, że wszyscy rozumieć powinni elementarne sprawy narodowego bytu, i poczuwać się do niejakiej osobistej odpowiedzialności za stan rzeczy w ojczyźnie... Jakże inaczej u nas pojmuje się polityczną oświatę...

NAUKA I LITERATURA

„WIELKA POLITYKA“ A ŻYCIE PROWINCJI

WIELKI okres wojny światowej i powstawania państwa polskiego ma już swoją bardzo bogatą literaturę polityczną i historyczną. Składają się jednakże na nią przeważnie prace o charakterze ogólnym, syntetyczne, obejmujące całokształt zagadnień polityki polskiej podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu, we wszystkich trzech zaborach lub conajmniej w jednym z nich. Brak było natomiast dotychczas zupełnie opracowań polityczno-historycznych w ujęciu „regjonalnem“, przedstawiających wydarzenia i działania z tego okresu na węższym terenie prowincjonalnym. A przecież jest rzeczą jasną, że powodzenie t. zw. wielkiej polityki zależy w dużym stopniu od tego, jaki resonans znajduje ona w całem społeczeństwie, a więc w ogromnej większości w społeczeństwie prowincjonalnem. Bez oparcia o szerokie masy, należycie uświadomione i zorganizowane — najlepiej poprowadzona wielka polityka może się załamać, czego wymownym przykładem chociażby krótka historja „niepodległej“ Ukrainy, która wykazała dobitnie zupełny brak dojrzałości politycznej społeczeństwa ruskiego w tym dziejowym momencie. Z drugiej znów strony polityka prowincjonalna czy „regjonalna“ ma nietylko znaczenie akcesoryjne, ale stanowi również sama w sobie czynnik samodzielny. To też historja poszczególnych prowincyj w przełomowych czasach wojny i powstawania państwa zasługiwać powinna na pilną uwagę, byłoby to bowiem ujęcie fragmentów najbardziej rzeczywistej rzeczywistości.

W tym stanie rzeczy uznać należy świeżo wydaną książkę Tadeusza Świeckiego i Franciszka Wybulta p. t. „Mazowsze Płockie w czasach wojny światowej i powstania państwa polskiego“ (1933 — str. 600 z ilustracjami, cena 10 zł.) za oryginalną i szczęśliwą, jako pomysł, próbę „regjonalnej“ historji politycznej. Próba ta, szczególnie trudna z uwagi na brak metodologicznych wzorów tego rodzaju opracowań, powinna znaleść naśladowców, w rezultacie czego zapełniona zostałaby poważna luka w naszej literaturze polityczno-historycznej.

Książka, zaopatrzona wstępem Dr. A. Macieszy, prezesa Tow. Naukowego Płockiego, składą się z 4 części. 1-sza „Moje wspomnienia płockie“ (t. j. Tadeusza Świeckiego b. posła na Sejm) dotyczy okresu od wybuchu wojny do zajęcia przez Niemców Warszawy. Jest to rodzaj pamiętnika, z natury rzeczy bardzo osobistego, ale pełnego za to świeżości, jaką daje bezpośrednia narracja, dostatecznie przy tem miarodajnego z uwagi na rolę, jaką autor odegrał w społecznem i politycznem życiu Płocka i ziemi płockiej. Część 2-ga i 3-cia p. t. „Od wybuchu wojny światowej do ustanowienia cywilnych władz okupacyjnych“ i „Od ustanowienia cywilnych władz okupacyjnych do zrzucenia okupacji“ kreślą nam obraz panujących stosunków na wszystkich odcinkach, ze szczególnem uwzględnieniem roli samorzutnego organizowania się społeczeństwa w tych bardzo ciężkich czasach. Część 4-ta wreszcie p. t. „Pierwsze lata niepodległości“ przedstawia z kolei pierwszy okres naszego odrodzonego bytu państwowego: najbardziej interesujące rozdziały dotyczą momentu organizowania normalnych władz w atmosferze charakterystycznego prowizorjum i poważnych niepokojów socjalnych. Część ta sięga w pewnych dziedzinach aż po rok 1930. Omawiana książka, będąca rezultatem b. żmudnej pracy archiwalnej, która ocaliła przed zupełnem zapomnieniem szereg naprawdę interesujących szczegółów historycznych ogólniejszego znaczenia, jest książką „ultrademokratyczną“. Skorowidz alfabetyczny nazwisk i nazw obejmuje bowiem około 6.000 pozycyj. Z tego względu choćby winna wywołać większe zainteresowanie na terenie Mazowsza Płockiego.

Ale i nietylko tam, jak to wynika z naszych wstępnych wywodów. W każdym razie, niezależnie od ewentualnych zarzutów, jakie możnaby książce postawić, zasługa autorów wydaje się niewątpliwą.

S. L.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dr. Wanda Brzeska zasłużyła się literaturze polskiej pracą poważną i sumienną — wydaniem młodzieńczych poezyj Jana Kasprowicza. Po szeregu rozpraw naukowych i krytycznych wystąpiła na widowni literackiej także jako poetka, ogłaszając w pięknej edycji (Druk Kuglina w Poznaniu!) tom „poezyj z włóczęgi" p. t. „Mitropa". Tytuł ten wygląda na nazwę jakiejś rośliny — w rzeczywistości jednak jest to skrót niemieckiego, a przyjętego już w słownictwie międzynarodowem, terminu: *Mitteleuropa*: Przez obszar, nazwą tą oznaczany, — a może i dalszy — odbywa poetka podróż wartką i pośpieszną, lubując się pędem pociągu czy samochodu. Mimo tego pędu czy pośpiechu umie po drodze zauważyć dużo, a co w takich wypadkach trudniejsze, zastanowić się nad rzeczę niejedną. Pejzaż Alp jest pierwszą rzeczą, która ożywia wzobraźnię, malarskie budzi ambicje. Potem przychodzi kolej na zachwyty nad architekturą miast starych: Norymbergi i Strasburga; w twardy ton balladowy przystroiły się wrażenia przeżyte na widok norymberskiej „studni jeńców". Po strasburskim tumie nowe wzruszenia daje Notre-Dame w Paryżu, gdzie uwagę poetki skupiły przedewszystkiem „wierne maskoty" tego Kościoła, groteskowe maszkary średniowieczne. Wspominki historyczne — refleksy dawnych wieków — nieraz jeszcze powracają na kartach zbiorku, rzewne jest — w ton Żeromskiego nieco wpadające — rozmyślanie o cmentarzysku Słowian koło Lüneburga. Ale współczesność ma tu większe prawa, a czysto liryczne utwory zaczynają zwolna przeważać nad refleksyjnemi. W nastrojach posępnych, na tle półciemnem, poetka podobno czuje się najlepiej — szczęśliwy wyraz tych nastrojów, z podkładem pewnej ironji czy groteski, spotykamy w „*Entre-sol*" i „Portowej knajpie"; smutek w ból się przeradza niekiedy (jak w „Charleroi"), ale i on jest wkońcu zgłuszony nowym pędem wojażu. Jako *pointe*'a — jako konkluzja, jeżeli kto woli — zostają na końcu zbiorku dwa zapytania. Pierwsze z nich — przypominające nieco jeden z utworów Gałuszki — to szukanie niewiadomej w splątanej „algebrze" torów kolejowych, rozrzuconych po świecie całym. Drugie pytanie: „pocóż nam ludzki kram, ludzka złość", brzmi bardziej optymistycznie. Rezultat to wyzwalającego pędu włóczęgi — z konieczności niedopowiedziany jeszcze, niezupełny (J. B.)

*

Niektóre książki są jak bajki Andersena: można wracać do nich parękroć razy, zawsze pozostaną świeże, niczem otrzymane przed chwilą i właśnie rozcięte. W naturze tego oddziaływania wiele jest spraw ciekawych z pogranicza twórczości pisarza i recepcji czytelnika, ustalających wspólnie moment społeczny w historji książki. O czem wiedział już Terencianus Murus, gdy zapisywał aforyzm, który w wędrówce pozgonnej zgubił autora: *Habent sua fata libelli*.

Próżno mówić o tem petitem przy okazji jednej z takich książek, które mogą być nowością każdego sezonu: przy okazji „Księgi dżungli" królewskiego pisarza, Rudyarda Kiplinga. Próżno i niepotrzeba. Mowgli pełno ma przyjaciół wśród nas z czasów, gdyśmy go zobaczyli po raz pierwszy. Księga dżungli — to złożony kompleks dziecięcych emocyj i zaciekawień, silnych podniet egzotycznych wyobraźni i fantazji, jedynych pasyj odkrywczych młodego wieku. Miło jest spojrzeć na tamte wzruszenia dziś, z odległości i po latach.

Autoryzowany przekład „Księgi dżungli" (w „Bibljotece Laureatów Nobla" R. Wegnera) wyszedł z pod pióra Józefa Birkenmajera, który w swej pracy tłumacza niejedną chwilę trudu Kiplingowi poświęcił. Otrzymaliśmy już w tymże przekładzie i „Kima" i „Gawędy z pod Himalajów" i „Kapitanów-zuchów". Tłumacz mówi w przedmowie o niezmiernej czci i sympatji, którą dla autora żywi jeszcze z czasów, gdy był rówieśnikiem jego bohaterów. Czytelnik widzi jedno: spostrzega w tekście polskim staranną i czujną dbałość, by nie uronić nic z uroków i ponęt oryginału. Jest w tem więcej niż rzetelność, jest także serdeczny stosunek do autora przekładanego.

Dokonano tłumaczenia na podstawie wydania angielskiego z r. 1928, które różni się w paru drobiazgach mało istotnych od wydań poprzednich. Powiastka „Biała Foka" zawiera nieco odchyleń w stosunku do oryginału: prostuje kilka imion i wyrazów rosyjskich, które Kipling dość pomysłowo zniekształcił. Przywraca w ten sposób — właściwy a czytelnikowi polskiemu lepiej znany zarys egzotyczny rosyjskiego dalekiego wschodu.

Śmiały język przekładu czerpie umiejętnie z zasobów literackiej, potocznej i gwarowej polszczyzny, czyniąc z tekstu obcego dzieło bliskie i naprawdę żywe. Umiar artystyczny ustrzegł tłumacza przed swobodą zbyt wielką, której jednak starczyło, by przykrasić słowa angielskie polskim rumieńcem. I to zarówno w prozie jak poezji: dokonane w szczęśliwej chwili przekłady śpiewów zwierząt Kiplinga harmonizują składnie z polotem słowa nierymowanego.

Nieźle się u nas powodzi Kiplingowi. Pełne kultury literackiej w interpretacji Wyrzykowskiego „Takie sobie bajeczki" (wydane przed kilkoma laty u Areta) oraz tomy Birkenmajera, dostatnie w polszczyźnie i wyrazie artystycznym, gruntują miejsce Kiplinga w naszem piśmiennictwie.

„Księga dżungli" w poznańskiej „Bibljotece Laureatów Nobla" ukazuje się po raz drugi: wersja Birkenmajera zastępuje poprzednią, chybioną wersję F. Pika-Mirandoli. (M.)

*

„Elekta" — wybrana — także imię symboliczne nosi tytułowa bohaterka powieści mistycznej M. M. Sayeys, wydanej w dobrym przekładzie Karoliny Bobrowskiej nakładem Księg. św. Wojciecha. Wybraną jest Elekta przez Chrystusa, który ją do swej służby powołał, ogniem Swej miłości zapalił i oblubienicą Swoją uczynił. Już to samo mogłoby dać podnietę do twórczego dzieła — jak to było z utworami Jana od Krzyża czy św. Teresy. Autor jednakże na tem nie poprzestał. Treścią swej powieści uczynił konflikt — konflikt dwóch miłości: ziemskiej i nadziemskiej. Konflikt tem głębszy, że owa miłość ziemska oparta jest też na podstawie religijnej, a niema w niej tego, co się zwie zmysłowym erotyzmem. Brunon, którego miłość walczy w duszy Elekty z duszą Zbawcy, jest człowiekiem uczciwym, głęboko myślącym. Widząc tragedję, jaką przeżywa jego umiłowana, cierpi wraz z nią niezmiernie, a chcąc przynajmniej ją od udręki wyzwolić, próbuje się od niej oddalić. Nie przynosi to ukojenia ani ratunku. Długich jeszcze walk potrzeba było, nim Elekta zdołała uświadomić sobie: „iż istnieje jedna tylko miłość — Jezus Chrystus" — i tej miłości ofiarowała całą siebie. Powieść to u nas niezwykła, na Zachodzie już dość częsta podobno, jak świadczy w pięknej przedmowie ks. M. Lekeux. Przed paroma laty powieść podobnej treści („Znak na dłoni" S. Baumana) czytaliśmy w doskonałym polskim przekładzie. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Największym swoim pisarzem dramatycznym, Moljerem, zajmują się nieustannie literaci francuscy, odtwarzając jego życie, bądź dzieje jego poszczególnych utworów. Z prac tego rodzaju zwracają na siebie uwagę książki M. Michaut („*Molière raconté par ceux, qui l'ont vu*") i Pawła Emard'a („*Tartufe, se vie, son milieu*"). Książka o „Tartufie" przedstawia między innemi dzieje walki, jaka się wszczęła z powodu tego utworu pomiędzy rozmaitemi sferami ówczesnego społeczeństwa francuskiego. Walce tej położył kres Ludwik XIV, wyznaczając Moljerowi pensję sześciu tysięcy liwrów i mianując jego trupę teatralną „trupą króla" (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Ze wszystkich dziedzin współczesnej sztuki sowieckiej najmniej zapewne była dotąd u nas znana dziedzina plastyki, pozbawionej znamion użytkowości—malarstwo, określane mianem stalugowego (dla orjentacji klasyfikacyjnej?) i rzeźba niemonumentalna. Film, teatr, książka, plakat, grafika, architektura, to działy, z któremi mieliśmy sposobność zapoznać się mniej lub więcej dokładnie, dzięki wysokim wartościom artystycznym pewnych działów, lub też znaczeniu, jakie posiadają w ustroju społecznym naszych sąsiadów. Rola malarstwa z natury rzeczy nie może być tak ważka, gdyż zasięg jego działania jest całkiem inny. Pragnienie przebudowy od podstaw wszystkich dziedzin życia nie mogło jednak pozostawić na uboczu i tej gałęzi kultury. Malarstwo również zostało wciągnięte w orbitę spraw, związanych jaknajściślej z nowemi formami bytowania. Intere-

suje nas przedewszystkiem rezultat tych usiłowań pod względem poziomu artystycznego, gdyż znane nam są ogólne nastawienia ideologiczne sztuki sowieckiej i nietrudnem będzie wyobrażenie sobie, jak ma wyglądać, tematycznie, dzieło powstałe w ramach tej ideologji. To też wystawa sztuki sowieckiej w Ipsie zaspokaja nasze zainteresowanie głównie od strony treści plastycznej, bo temat tych obrazów nie powinien być dla myślącego widza niespodzianką. A więc praca, sport, rozbudowa kraju, pejzaż przemysłowy; są i portrety wodzów, wizerunki robotników, chłopów, komsomolców (to znaczy, podobizny typów). Akt niewieści pojawia się nader rzadko i w ujęciu zasługującem na zanotowanie. Nie pokazuje się ludzi, którzy się rozebrali bez określonego bliżej powodu, ot tak sobie, by tylko łyskać golizną, którą malarz utrwala na płótnie. Nie, widzimy tylko kąpiące się, uprawiających ćwiczenia sportowe, rzeźki akt dziewczęcy, na balkonie przy porannej toalecie.

Odmiany tematów, zwłaszcza takich, jak sport i praca nie należy lekceważyć (uwaga pod adresem wrogów „literatury" w malarstwie), gdyż przynoszą one również nowe możliwości plastyczne. W atmosferze i warunkach, nie spotykanych gdzieindziej, powinien powstać nowy typ artysty, czującego inaczej. Obrazy zgrupowane na wystawie sowieckiej powinny być wyrazem tej nowej postawy wobec świata. Niestety, dotychczas najbardziej widoczną jest zmiana w zakresie tematów, nie towarzyszą jej próby nowych ujęć malarskich, tak, że obrany motyw, chociaż odmienny, często wydaje się nieledwie pretekstem; artysta sowiecki mówi to samo, co jego poprzednicy, chociaż nie o tem samem.

Dostrzeżone różnice, z małemi wyjątkami, świadczą raczej na niekorzyść sztuki sowieckiej. Pod względem ujęcia, treści literackiej, znaczenia propagandowego, wiele obrazów olejnych stoi w najbliższem sąsiedztwie plakatów, granica ściśle wytyczona tu nie istnieje; środki graficzne, plakatowe przemyca się do obrazu, nieraz—niewiadomo dlaczego — świadomie odbarwionego. Ale plakat może (i powinien) mieć wyszukaną precyzję techniczną, tymczasem obrazy tak blisko z nim spokrewnione przeważnie jej nie posiadają. Nie pragniemy wymyślności i perwersyj techniczno-fakturowych, reakcja przeciwko dzisiejszemu przerostowi tych właściwości byłaby nawet zjawiskiem pożądanem. Rozumiemy również, iż plastyka sowiecka, ze swego punktu widzenia, może uważać lubowanie się w smakowitościach techniki za niewłaściwie, lecz to, co jej artyści w tym zakresie dają w swych dziełach, jest często smutnem ubóstwem, a nieraz wyraźnem niedbalstwem. Sztuka niegdyś bujna, pełna żywiołowej zamaszystości pendzla, dziś tych znamion niemal nie ujawnia.

Artystą, który ma prawo nazwać się prawdziwym przedstawicielem nowej sztuki sowietów, jest Aleksander Łabas, w pewnej mierze także Pachoma.

W dziale grafiki znajdują się drzeworyty dwóch znakomitych grafików rosyjskich: Krawczenki i Faworskiego.

Wystawę sowiecką należy traktować jako próbę skierowania sztuki na nowe tory i usiłowania te są bardziej godne uwagi, niż dotychczas osiągnięty rezultat.

WIKTOR PODOSKI

Z WARSZAWSKIEGO ŚWIATA MUZYCZNEGO

OBRAZ warszawskiego życia muzycznego od dłuższych już lat mętny i odpychający, nigdy jeszcze nie przedstawiał za kulisami swemi takiej gmatwaniny spraw i takiego steku krzyżujących się intencyj, jak w chwili obecnej. Uwidoczniło się to wyraźnie przy sposobności przyznania dorocznej nagrody państwowej. Mimo że tę nagrodę z dawnych 15.000 zredukowano obecnie do 5.000, przecież stała się ona w tym roku powodem niechęci i waśni, ostrzejszych niż kiedykolwiek, a co gorsza, wydobyła na jaw takie metody zwalczania przeciwnika, na jakie nikt z ludzi kulturalnych nie byłby się dawniej odważył.

Nagrodę w tym roku otrzymał Eugenjusz Morawski, rektor Konserwatorjum Warszawskiego za utwór baletowy pod tytułem „Świtezianka", dawany w Teatrze Wielkim przed paru laty. Już w roku ubiegłym stawiano Morawskiego jako kandydata do nagrody, zwyciężył jednak wówczas Maklakiewicz, nic więc prostszego nad to, że obecnie przypadło to odznaczenie Morawskiemu, dzięki czemu ułożył się już pokaźny szereg nagrodzonych, jak: Szymanowski, Różycki, Maliszewski, Maklakiewicz, a ostatnio Morawski. Jednym z celów instytucji tej jest właśnie wydobywanie na jaw wybitnych kompozytorów wraz z ich najbardziej wartościowemi dziełami. To wydobycie na jaw należało się już dawniej Morawskiemu, który, żyjąc przez długie lata w Paryżu, nie był u nas dość znany, mimo, iż kilkakrotnie utwory jego orkiestralne na naszych wykonywano estradach. A nazwisko polskiego kompozytora musi często i przez dłuższe lata wpadać w oko publiczności, zanim doczeka się popularności, a następnie zwróci na siebie uwagę „sfer najwyższych," ogółem wziąwszy interesujących się muzyką niezbyt żywo.

W znanych dziejach Akademji muzycznej, dziś już na szczęście pochowanej, bo wszakże była środowiskiem najniezdrowszych apetytów (na szkodę skarbu państwa oczywiście) i najprzewrotniejszych zamieszek, Morawski odegrał rolę dla dobra instytucji bardzo pożądaną. Zaproszony do objęcia dyrekcji Konserwatorjum, przejściowo uznanego za Akademję, zajął to stanowisko po Karolu Szymanowskim i stale na niem pozostaje, podobnie jak prof. Witold Maliszewski na stanowisku, zajmowanem przedtem przez p. Miketę. Rzecz prosta, że zwolennicy dawnego ustroju są dla Morawskiego nieprzychylnie usposobieni. Drażni ich to, że ten „nowy człowiek", sprawując swój urząd lojalnie i ze znajomością rzeczy, z drugiej strony zdobywa sobie i na polu twórczości uznanie należne. Że zaś od niechęci krok już tylko jeden do usiłowań, ażeby zasługi nienawistnego sobie człowieka obniżać o ile to możliwe na każdym kroku, przeto nic dziwnego, że przeciwnik taki, zaciekły w swym uporze, potrafi wbrew wszelkiej objektywnej ocenie utworu muzycznego, zapędzić się aż do absurdalnej, śmiesznej tegoż krytyki, jak się to stało tym razem, ku łatwo zrozumiałemu oburzeniu ludzi, biorących rzecz bezstronnie.

Opozycja, bardzo zresztą nieliczna (2 głosy przeciw 5-ciu) widząc, że sędziowie przekonać się nie dadzą, chwyciła się środków równie rozpaczli-

wych, jak nielojalnych w celu pomniejszenia grona sędziowskiego. Spowodowała usunięcie się jednego z jurorów, a następnie usunęła się sama, nie zważając na to, że nikt z dojrzałych i objektywnie rzecz biorących ludzi, nie usuwa się przegłosowany, bo takie usunięcie się znaczenia merytorycznego nie ma żadnego, a jako demonstracja nie robi wrażenia na nikim. Manewry te nic nie pomogły, a nietaktowne, złośliwe i z prawdą niezgodne przedstawienie całej sprawy konkursu, umieszczone w jednem z pism perjodycznych, podpisane przez najmłodszego członka jury, pozostawiło po sobie niesmak i ferment na długi czas, zaostrzyło niezgodne stosunki wśród muzyków, a Stowarzyszeniu Kompozytorów Polskich, z którego wyszła opozycja, wyrządziło krzywdę moralną w ten sposób, że opinja publiczna, zapoznawszy się ze sprawą z dzienników, przeniosła swój sąd potępiający z poszczególnych członków na całą instytucję, jak to zresztą bywa w takich razach najczęściej. W szczególności wciągnięcie sprawy wydawniczej prof. Rytla w ramy sprawy konkursowej, brano delegatom Stowarzyszenia za złe w wysokim stopniu. I słusznie.

Że zajścia tego rodzaju, tak bardzo psujące całe życie nasze muzyczne, są dziełem rozbujałych namiętności na tle osobistem, o tem wątpić nie można. Ale zaprzeczyć też trudno, że w sprawie konkursu dużo ponosi winy paragraf statutu, określający przedmiot nagrody, którym jakby się zdawało, miałby być nie kompozytor lecz jego utwór. Według ustawy, nagrodę ma otrzymać „najlepsze dzieło muzyczne", utworzone i wykonane w ciągu kilku lat ostatnich. A więc, niedwuznacznie, osobiste względy są tu usunięte zupełnie. Tymczasem, w dalszym ciągu, osobistość twórcy przecież wysuwa się naprzód, bo paragraf robi zastrzeżenie, że ten sam kompozytor rok po roku nie może otrzymywać nagrody. Leży w tem oczywista sprzeczność. Cóż bowiem się stanie, jeżeli właśnie, jakiś utalentowany muzyk spłodzi trzy „najlepsze" dzieła jedno po drugiem? Krzywda wyrządzona dziełu będzie nieunikniona...

Byłoby zatem rzeczą najodpowiedniejszą trzeci stopień przymiotnika dobry zastąpić określeniem „wartościowy" lub „wybitnie wartościowy". Bo przedewszystkiem, czy w dzisiejszej muzyce istnieje coś „najlepszego"? Nie. Mamy tego doskonały przykład z utworem Honeggera, uznanym w Paryżu za „najlepszy". Przybył do Warszawy, dał się tu poznać z estrady Filharmonji, nie podobał się, a nawet moderniści nasi orzekli, że jest — najgorszy!...

Pozatem, utwór wzięty abstrakcyjnie, na pieniężną nagrodę czuły nie jest, i wystarczyłoby mu odznaczenie honorowe. Natomiast autor, człowiek z krwi i kości, na gotówkę wrażliwy być musi, zwłaszcza w dzisiejszych złych czasach. Czy więc można ignorować ten moment, że pewną kwotą pieniężną przynosi się pomoc artyście, w myśli, że dla jego pracy spływa z nią znaczne ułatwienie życiowe?

Należy też w omawianym paragrafie i zastrzeżenie owo skreślić, bo na wszelki, chociażby wyjątkowy wypadek, rozwiąże to ręce sędziom, pozwalając im wziąć na wzgląd i utwór wartościowy i artystę zasłużonego i dobro sztuki. Bo abstrakcja, którą w danym razie chce ktoś pokrywać swe osobiste cele, wogóle możliwą nie jest, jak się to już nie po raz pierwszy okazało.

Należałoby zwrócić się do Ministerstwa z petycją o zmianę nadmienionego paragrafu.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

ZMARLI

Ś. P. CZESŁAW RUDNICKI

Zmarł w tych dniach w Warszawie zasłużony uczestnik ruchu demokratyczno-narodowego w jego początkach śp. Czesław Rudnicki.

Pochodził z Podola, kształcił się w Petersburgu jako technik. Młody inżynier przybył do Warszawy w r. 1889. Zbratawszy się na gruncie przekonań politycznych z redakcją „Głosu", był jakiś czas administratorem tego pisma. W r. 1891 zajął stanowisko w magistracie warszawskim w wydziale regulacji i rozbudowy miasta. Wydziału tego później był długoletnim kierownikiem. Jako emeryt zginął nam po wojnie z oczu. Obecnie dowiadujemy się z żalem o jego śmierci. Zmarł w 77 roku życia.

Był to człowiek wielkiej prawości charakteru i dobroci, zawsze ożywiony ideałami narodowemi i gotowy ofiarnie im służyć.

Kiedy jako inżynier magistratu mieszkał w domu miejskim na ul. Karowej 2, — w lokalu jego odbywały się często zebrania konspiracyjne Zetu i Ligi Narodowej, której był członkiem. Cieszył się ogólną sympatją i zaufaniem. Przyjaciele żartowali z jego wymowy wybitnie kresowej, a Jan Popławski, będący jego bliskim przyjacielem, nieskończone opowiadał o nim dykteryjki. Robiąc aluzję do jego rudawych włosów, wystawiał mu kwalifikacje: „charakter ryży", „herbu Lis".

W późniejszych czasach wątek współpracy się urywał. Śp. Rudnicki zapracowany był gorliwie w swej specjalności i polityce się nie oddawał. Ożenił się ze znaną w nauce polskiej Zofją Joteykówną.

Pomimo oddalenia i braku wiadomości o dalszych kolejach życia, koła przyjaciół dawnych nigdy o nim nie zapomniały, żywiąc dla niego przyjaźń i wdzięczne wspomnienia. Wiadomo nam, że w kołach pracy zawodowej cieszył się również wielką sympatją i uznaniem.

Cześć jego pamięci!

Ś. P. JÓZEFA JAXA-BĄKOWSKA („SZCZĘSNA")

Zmarła w Konstancinie, w wieku lat 72, ś. p. Józefa z Cybulskich Ludwikowa Jaxa-Bąkowska, utalentowana poetka, znana bardziej pod pseudonimem Szczęsna.

Zaczynała pisać jeszcze przed rokiem 1880-ym; pierwsze utwory drukuje w „Świecie" Konopnickiej i „Bluszczu", redagowanym przez Marję Ilnicką. Konopnicka i Ilnicka wróżą jej dużą przyszłość i zachęcają młody talent. Zamieszcza utwory swe w „Kaliszaninie", „Ognisku", „Kraju", „Tygodniku" (dod. literackim do ówczesnego „Kurjera Lwowskiego", „Gazecie Narodowej", „Życiu", „Kłosach", i innych. Uczestniczy w konkursie „Tygodnika Ilustrowanego", gdzie jej utwór „Safona" zostaje odznaczony obok poematu Konopnickiej.

W 1884 r. wydaje Szczęsna „Złote myśli Juljusza Słowackiego" (Lwów) z obszerną swą przedmową o poecie. W 1892 r. ukazują się „Przelotne chmury" (poezje) oraz „Wybór Złotych myśli Adama Mickiewicza" z przedmową, w 1894 wydaje I tom swych „Poezyj".

Na życzenie Marji Ilnickiej, która chora i zmęczona ustępowała z kierownictwa „Bluszczem", obejmuje Szczęsna stanowisko po niej, redagując „Bluszcz" przez lat blisko pięć (1896—1901), w niezmiernie ciężkich warunkach cenzury rosyjskiej.

W latach 1903—5 redaguje „Dobrą Gospodynię" (jej dział społeczno-literacki), pisząc artykuły wstępne, krytyki i zamieszczając swe poezje w „Dobrej Gospodyni" i w jej dodatku literackim „Kłosach".

Po śmierci męża ś. p. dr. Ludwika Jaxy-Bąkowskiego, poświęca się Szczęsna całkowicie sprawom domu i wychowaniu dzieci oraz działalności społecznej. W domu swym na Powiślu ofiarowuje mieszkanie na ochronę im. swego nieżyjącego małżonka i jest jej główną opiekunką przez lat 16, poczem, po likwidacji tej placówki wobec powstania instytucyj miejskich, przekazuje mieszkanie Centrali Akad. Bratnich Pomocy w Warszawie na Ognisko dla studentów.

Prócz utworów, drukowanych zbiorowo bądź w pismach, pozostawiła bogatą spuściznę w rękopisach, a w nich poezje, nowele, libretta („Krzysztof Kolumb" i „Jurata — Królowa Bałtyku"), baśnie i pamiętnik z lat 1867 — 94.

ERRATA: W numerze poprzednim w recenzji z filmu „Każdemu wolno kochać", zamiast ani postawnym powinno być: ani sławnym.

OFENSYWA

KONIEC FIRMY COHN

„Wszechświatowej“ sławy Emil Ludwig miał wygłosić w szwajcarskiem pewnem miasteczku konferencję o Ameryce. Tej miłości ostatniej zostali jeszcze wierni i to fanatycznie. „*Lux ex Wild-West*“. Niedawno niejaki Herzog znany pod pseudonazwiskiem André Maurois całą znów książkę wydał o urodzie Ameryki, a nasz Blumenfeld-Ordyński znów dostał podobno większy fundusz, aby przepłynąć „wielki staw“, dopaść gdzieś Paderewskiego, znów się fotografować, potem wpłynąć na Roosevelta w sensie przechylenia się do nas, a wreszcie od Mellona, Rockefellera i Morgana wyrobić grubszą pożyczkę. I oto w tym samym czasie, gdy naszym Cohnom tak się nadal dobrze wiedzie, wszechświatowej sławy Emil Ludwig Cohn doznaje fatalnej porażki. Gdyby to jeszcze miało miejsce w Niemczech, byłoby zrozumiałe. Tam zmierzch się zaczął na całej linji i największe „warenhauzy“ zamykają jeden po drugim. Ale Emil Ludwig ze swoją wytwórnią *en gros* wcale przewidująco przeniósł się do Szwajcarji już kilka miesięcy temu. Był przekonany, że na gościnnej ziemi Helwetów będzie można fabrykę zmontować na nowo i znów wyrabiać masowo nowe „ludwigi“ luksusowe i w ludowych edycjach, oprawne w pergamin i tylko broszurowane. Przedtem jeszcze zajechał do Paryża, aby pokazać nowe próbki i desenie swoich towarów i dostać nieco obstalunków. Przy tej sposobności wyparł się dość po Judaszowsku tego narodu, w którego języku przez 25 lat pisał i któremu całą swoją firmę zawdzięcza. W wywiadzie z pismem „*L'Illustration Juive*“ (jest i taka) mówił szef „warenhauzu“ Emil Ludwig coś takiego:

„Do 40-tego roku życia prawie nie wiedziałem' że jestem Żydem. Zabójstwo Rathenau'a było dla mnie pierwszym wstrząsem i znakiem ostrzegawczym W kilka dni potem wystąpiłem z kościoła chrześcijańskiego, do którego formalnie należałem i publicznie oświadczyłem, że należę do plemienia, które bardziej niż kiedykolwiek jest obecnie prześladowane. Jakkolwiek jestem daleki od Starego i Nowego Testamentu, to jednak zdecydowałem się zadeklarować swą przynależność do wspólnoty żydowskiej“.

Poczem pod adresem narodu, w którego języku pisał:

„Wszystkie wartości kulturalne, które Żydzi stworzyli dla niemieckiej muzyki, literatury, teatru i malarstwa zlekceważone zostały przez prostacki tłum.

W Niemczech tylko panuje ta zaraza. Gdy się porównuje zasób wartości kulturalnych, stworzonych przez miljon Żydów, z tem, co stworzyło 61 miljonów „aryjskich“ Niemców, wówczas właściwie Niemcy powinni mocno się nadwyrężyć, aby osiągnąć równouprawnienie“.

To powiedziane było przez uciekiniera, renegata i cokolwiek tchórza. I trzeba przyznać, że dalej arogancja zajść nie mogła... Niemcy Brahmsa i Beethovena, Goethego, Schillera, Kleista i Hebbla, Feuerbacha i Boecklina, Kanta i Schopenhauera „powinny się mocno nadwyrężyć“, aby zrównać się z tem, co dali Weininger i Freud, Blumenthal i Kadelburg, Schnitzler i Korngold. I to powiedział autor tak zwanych monografij romansowych o Goethem, o Beethovenie, Bismarcku, Wilhelmie II. To też kiedy zaraz po tem zaparciu się miał odczyt w Paryżu, *degout* i niesmak były tak powszechne, że nawet prasa paryska przyjęła Ludwiga sztywnie. Jego „pseudo-historycznego“ faktomontażu teatralnego p. t. „Wersal“, który fatalnie padł raz grany w Londynie, żaden teatr paryski nie zaryzykował scenicznie zrealizować.

Wobec takich deziluzyj rozgrymaszony prymadon nienawiść i pogardę do Niemiec „zbudzonych“ rozszerzył jeszcze i na resztę Arjów. Bądź-co-bądź miał powody do rozgoryczenia i mizantropji (*Welthass*). Przecież dał światu wywiady ze Stalinem, dał książkę o Mussolinim „rehabilitującą“, mógł zatem liczyć na wdzięczność ludzkości. A tu tymczasem moda na ludwigi się kończy, a „Wersalu“ nie chce wystawić żaden teatr w Europie. Zniechęcony tedy doszczętnie do Aryjczyków daje *chef* „warenhauzu“ Emil Ludwig nowy wywiad:

„Stosunek mój do syjonizmu jest nawskroś przychylny i był zawsze takim. Przy każdej sposobności stawałem w obronie syjonizmu. Sądzę, że syjonizm jest rozwiązaniem kwestji żydowskiej w krajach Europy Wschodniej, gdzie żyd nie ma siedziby, ani wolności, ani ziemi. Jestem zdania, iż każdy świadomy swej żydowskości żyd, bez względu na kraj jego zamieszkania i na swobody, z których korzysta, winien przychylnie odnosić się do idei renesansu palestyńskiego i Żydowskiej Siedziby Narodowej“.

Zaczem Emil Ludwig syjonistą!

Pięć lat temu jeszcze w samych Niemczech mało kto wiedział, że słynny i popularny Emil Ludwig nazywa się Cohn'a nazwisko przybrał sobie dawnego niemieckiego autora dramatycznego. Dzięki tej maskaradzie zyskał tak niesłychaną popularność, wyparł się Kohna i wyzyskiwał konjunktury.

Teraz już po wszystkiem. Miał jeszcze komponować film o Beethovenie, ale obstalunek cofnięto. w Niemczech ze wszystkich bibljotek, księgarń i wypożyczalni „wycofano“. Propozycję zmonografowania czcigodnego prezydenta Masaryka, Praga całkiem słusznie odrzuciła, gdyż najwyszukańsze superlatywy tego znakomitego geszefciarza (który teraz dopiero przypomniał sobie o egzystencji Marka Aureliusza z Hradczynu) byłyby czemś dysonansowem i dysharmonijnem. Po tej rekuzie przyszedł jeszcze i skandal z wygwizdaniem na odczycie, i to we francuskiej Lozannie, nie w jakimś niemieckim Zurichu czy Bernie.

My specjalnie kondolować mu nie będziemy, ani telegramu nie wyślemy, choć na jego „dziełach“ kształciła się nasza sanacyjna Elita. W swoim wywiadzie ze Stalinem starał się nam wedle sił szkodzić. To jedno. W teatralnym zaś knocie o „Wersalu“, obskurny skrybifax-kohnpilator nie raczył dostrzedz Dmowskiego. Z Paderewskiego natomiast zrobił starego przyjaciela osławionego żydładka, Basila Zacharowa i zajadłego militarystę, który bredzi w ten deseń:

„Mój drogi panie Zacharow! Wielkie działa! Pan się uśmiecha? Samą muzyką nie mogę Polski bronić! Ciężkie działa! Jaki model? Mój minister spraw wojskowych wszystko panu objaśni! Proszę przyrzec mi, jako staremu przyjacielowi, że pan nas przedewszystkiem uwzględni! Pieniądze? Nie odgrywają żadnej roli! Ale porządne 42! Tak jest, taki jak Niemcy mieli! Mój kochany przyjacielu“...

Skończył się już Emil Ludwig i w *Mittel*-Europie i w Europie. Czy nie wypadałoby wyrzucać tę tandetę z polskich księgozbiorów i z ministerjalnych połączonych bibljotek, skoro palą tem dziś w kuchennych piecach w rodzonych Niemczech?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Organy polityczne konserwatystów w Krakowie i Wilnie — „Czas“ i „Słowo“ — wystąpiły w dn. 19 marca z artykułami wstępnemi, w których pierwszy podnosi znaczenie dziejowe symbolu, a drugi — legendy. Tytuł pierwszego artykułu „Konkretność symbolu“, drugiego — „Legendy sprawa druga“. Dawniej konserwatyści szukali chluby w nazwie stronnictwa polityki realnej, teraz są dumni ze swej poetyckości. Odmłodzili się metodą Woronowa.

*

Nastręcza się jednak pytanie: czy można uważać za dowód najwyższego uznania twierdzenie o osobie żyjącej i czynnej, że jest symbolem i mitem? Zdaje się, że zabieg sanacyjny Woronowa okazał się zbyt silny. Gdyby Faust tak przeholował i odmłodził się na chłopczyka, toby... go grywano na popołudniowych przedstawieniach.

*

Uzdrawianie społeczeństwa polskiego przez „Sanację“ wróciło na właściwe jej tory zabiegów klinicznych. Bawiono się niepotrzebnie w polityków, moralistów i wychowawców; teraz wzięto się do klizopompy i chirurgji ze szczególnem uwzględnieniem—rytualnej. Sanatorja przepełnione.

*

Podobno jeden z techników warszawskich dokonał cennego i bardzo interesującego wynalazku, który zamierza opatentować. Jest to mianowicie t. zw. „motopompa samoczynna“ z mikrofonem, połączonym z mechanizmem w sposób tak pomysłowy, że na sam dźwięk słów „Niech żyje Wielka Polska!“ motopompa odrazu automatycznie zaczyna lać strumień wody w kierunku, skąd powyższy okrzyk się odezwał.

Przypuszczają powszechnie, iż dzięki tej technicznej inowacji uda się wreszcie stłumić w zarodku nastroje antypaństwowe, do których dzisiejsza młodzież polska, jak wiadomo, tak powszechne żywi upodobanie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.